



PRORZEK BIAŁY

Polska walcząca na ziemi włoskiej

ROK V Nr. 16 (151)

NIEDZIELA, 22 KWIETNIA 1945 R.

CENA 10 LIRÓW

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

Nie zrzekniemy się polskiej prawdy

Są pewne fakty, z których ogół nie zdaje sobie w pełni sprawy. Do tych przede wszystkim należy fakt, że wojnę przeciw Niemcom wygraliśmy. O ile kampanię wrześniową przegraliśmy, o tyle walka przeciw niemieckiej okupacji została w pełni wygrana.

Przeciętny czytelnik gazet nie wiąże w jedną całość sporadycznych wiadomości, jakie ukazywały się w prasie o walkach oddziałów partyzanckich, o sabotażach, o prasie podziemnej itd. Ruchy podziemne w innych krajach Europy miały daleko większy „rozgłos” w prasie anglosaskiej choćby wymienić dla przykładu Francusk, ruch podziemny. Po upadku Warszawy — z wiadomych przyczyn, historia polskiego Państwa Podziemnego stała się dla zagranicznych dziennikarzy „tabu”, które lepiej jest omijać z daleka.

I tak oto pogrzebano jeden z największych fenomenów tej wojny, pokryto milczeniem jedno z największych ludzkich osiągnięć Europy. Naszym obowiązkiem jest znać prawdę o polskim Państwie Podziemnym. Pamiętajmy o tym, że oprócz trzech broni, jakie walczyli i walczą poza granicami — Armia Krajowa była najliczniejszą i najpotężniejszą jednostką Wojska Polskiego i najdłużej znajdowała się na froncie. Pamiętajmy o tym, że straty Wojska Polskiego licząc w cyfrach bezwzględnych są do tej pory większe niż straty amerykańskie i brytyjskie — licząc zaś procentowo w stosunku do liczebności narodu — są większe od strat sowieckich.

Nie jest naszym celem w tym artykule zobrazować dzieje polskiego Państwa Podziemnego. Nie wszystko do tej pory zostało ujawnione. Mimo to już dziś z dostępnego materiału wysnuć można pewne wnioski ogólne i zdać sobie sprawę z politycznej pozycji, jaką Państwo Podziemne odegrało w historii Polski.

Aby zrozumieć istotę polskiego Państwa Podziemnego musimy ustalić kilka faktów wstępných. Niemcy w każdym kraju, do którego wchodzili, starali się zatrzymać niemal cały aparat państwowy dla siebie. Zmieniali tylko kierownictwo obsadzając wszystkie inne stanowiska kolaboracyjnymi. Ten schemat obowiązywał we wszystkich krajach okupowanych z jednym wyjątkiem, który stanowił — Polska. Jest wielkim uproszczeniem sądzić, że problem Quislinga polegał na wynalezieniu dwóch, trzech zdrajców, którzy za pieniądze pracowali dla okupanta. System quislingowski polegał przede wszystkim na współpracy z wrogiem nie tylko całych grup społecznych, lecz również całej administracji państwowej.

W Polsce sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Nie tylko nie znalazł się „quisling”, lecz Polacy nie wydali wrogowi aparatu administracyjnego. Toteż Niemcy Polskę okupowali, lecz nią nigdy nie administrowali — dokonywali w niej aktów terroru, lecz nigdy nią nie rządzili.

Już pod koniec 1939 roku idea polskiego Państwa Podziemnego była wyraźnie skryształizowana. Dwie zasady stanowiły fundament całości struktury: pierwsza, że polskie Państwo Podziemne jest legalną kontynuacją Rzeczypospolitej, której władze naczelne i jawne znajdowały się i znajdują w Londynie — oraz druga, że z Niemcami nie ma żadnej rokowań ani współpra-

cować — a jedynie i wyłącznie należy przeciwko nim walczyć.

Już w zimie 1940-41 okupacyjna administracja niemiecka de facto nie urzędowała. Aparat niemiecki poza rozbojem, terrorem i przenoszą żadnych funkcji nie wykonywał. Na akty terroru odpowiadała zbrojnie Armia Krajowa — istniał więc stan wojny, a nie okupacyjnej administracji. Ludność stosowała się wyłącznie do zarządzeń polskich władz, kupowała polską pożyczkę wojenną, omówianą przez Państwo Podziemne, w każdym choćby najmniejszym mieście urzę-

Dział trzeci stanowił t. zw. reprezentacja polityczna (Rada Jedności Narodowej), która w oparciu o cztery główne polskie „mronnictwa” zastępowała Sejm. Delegat Rządu był odpowiedzialny przed Radą Jedności Narodowej.

Dział czwarty to Dyrektoriat Oporu Cywilnego. W jego skład wchodził wybitny przedstawiciel nauki, prawnicy, duchowni itd. Zadaniem działu było utrzymywanie morale społeczeństwa na najwyższym poziomie i realizowanie zasady t. zw. „totalnego ignorowania okupanta”. W skład tego działu wchodziły t. zw. trybunały

najwspanialszych osiągnięć polskiego instynktu państwowego i dzieł geniuszu konspiracyjnego.

Rosła z każdym rokiem atrakcyjność organizacji. Państwo Podziemne zwyciężało. Karski opisuje, że w czasie łapanek na ulicach Warszawy często zdarzało się, że aresztowano po kilka tysięcy osób w tym stu lub dwustu członków organizacji. Po pierwszym śledztwie Gestapo wypuszczano zazwyczaj część zatrzymanych. Wśród zwolnionych przeważali właśnie członkowie organizacji. Bojownik był chroniony przez Państwo Podziemne. Posiadał wszystkie potrzebne dokumenty aż po oryginalne zaświadczenie niemieckiego Arbeitsamtu włącznie. Był szkolony, jak w razie aresztowania winien się zachować.

Przybywało agentów — rozwijało się szkolnictwo, prasa, życie kulturalne. Wiele tygodników było ponad 30 tysięcy egzemplarzy. Po pięciu latach okupacji okazało się, że Niemcy są po prostu bezsilni wobec woli trwania narodu polskiego. Z każdym rokiem ich rzeczywista władza malała: straty w ludziach rosły — a przeciwne polskie Państwo Podziemne krzepło. Sami Niemcy przynajmniej, że tracąc z każdym miesiącem grunt pod nogami w Polsce.

Ogół Polaków za granicą nie zdawał sobie sprawy z rzeczywistości w Kraju. Zasada konspiracji wymagała absolutnej tajemnicy. Dopiero bitwa warszawska otworzyła oczy zarówno nam, jak i państwu zachodnim. Okazało się, że po 5 latach niemieckiego terroru, Polacy potrafili zreorganizować swoje państwo i armię i stanąć do walki. Po 5 latach okupacji byliśmy potężniejsi niż po roku czy dwóch wojny polsko-niemieckiej. Krzepiliśmy w wojnie wygrywając walkę przeciwko okupantom.

Niestety ów dzień 17 września 1939 roku powtórzył się nad Wisłą. Ulegliśmy Niemcom w Warszawie po raz drugi z tej samej przyczyny.

Jak we wrześniu Rosja uznała Państwo Polskie za „niebyłe”, tak i w 1944 w sierpniu za „niebyłe” uznała polskie Państwo Podziemne. Na przestrzeni jednej wojny dwukrotnie uniemożliwiono nam obronę przeciwko Niemcom.

Jest rzeczą istotną, byśmy wszyscy zdawali sobie sprawę z następujących faktów. Kampania wrześniowa była tylko fragmentem wojny polsko-niemieckiej. Po wrześniu 1939 roku naród polski z niesłychaną żywotnością zreorganizował swe sily. W walce z Niemcami byliśmy zwyciężcami nie tylko w Anglii, Belgii, Holandii — nie tylko pod Monte Cassino, lecz również w Polsce.

Polskie Państwo Podziemne było legalną, krajową, kierowaną przez legalny rząd w Londynie kontynuacją Rzeczypospolitej, prowadziło zwycięską wojnę przeciw okupantowi, rosło w sily i było gotowe w chwili upadku Niemiec wyjść z podziemi, aby jawnie reprezentować naród polski pod najwyższym kierownictwem polskich władz naczelnych.

Niemcy nie byli w możności ani pobas, ani rozłożyć moralnie. Z wojny przeciwko Niemcom wyszlibyśmy z olbrzymimi, wprawdzie stratami ale jako zwycięzcy. Nie ulegliśmy Niemcom.

To są fakty oparte na dokumentach. To jest już dziś nietytu — historia. Nie możemy (Dokończenie na str. 10.)



Oddział żołnierzy Armii Krajowej — mężczyźni i kobiety — maszerują ulicami walczącej Warszawy w sierpniu 1944 r.

dował przedstawiciel Delegata Rządu i okręgowy reprezentant Dowódcy Armii Krajowej.

Rezultat takiego stanu rzeczy wyraża się w interesujących cyfrach porównawczych. Jak podaje świeżo wydany Rocznik „Swiatopól” — we Francji, Czechach i innych krajach okupowanych liczb Niemców cywilnych i wojskowych (poza jednostkami strategicznymi) wynosiła od 10 do 40 tysięcy ludzi. W Polsce Niemcy będąc w ustawicznej wojnie musieli utrzymywać ponad 600.000 wojska. W różnych okresach cyfry te wzrastały dwu i trzykrotnie.

Polska była jedynym krajem okupowanym, który nie miał swojej własnej oficjalnej administracji. Oficjalna administracja polska nie istniała. Istniało Państwo Podziemne z szeroko rozbudowanymi agendami — oraz wojskowe i policyjne sily okupacyjne wroga.

Struktura polskiego Państwa Podziemnego ujawniona jest do tej chwili tylko w ogólnych zarysach. Mówiąc o całości Państwa Podziemnego należy rozróżnić pięć zasadniczych działów organizacyjnych. Pierwszy — administracyjny, na którego czele stał Delegat Rządu, rozpadł się na 12 departamentów. Na czele każdego departamentu stał dyrektor. Ilość departamentów odpowiadała cyfrze ministerstw rządu polskiego w Londynie. W każdym mieście i w każdym powiecie urzędował reprezentant Delegata Rządu.

Drugim działem była Armia Krajowa.

specjalne, które wydawały wyroki na zdrajców i na zbrodniarzy wojennych. Warto podkreślić, że w ciągu 5 lat trybunały te wydały jedynie kilkanaście wyroków śmierci na Polaków. Nie było ani jednego wyroku na choćby jedną osobę wybitną czy choćby znaną w życiu społecznym czy politycznym Polski. Wspomniane wyroki zapadły na Volksdeutsche z spekulacji i prowokacji. Natomiast nie licząc setek tysięcy Niemców, którzy zgineli w walkach z Armią Krajową — wiadome jest dziś, że w ciągu ostatnich lat 5 na zasadzie wyroków polskich sądów podziemnych zgineło ponad 10.000 niemieckich zbrodniarzy wojennych.

Dział piąty był swojego rodzaju ministerstwem łączności.

W organizacji unikano większych zebrań. Niemal wszystkie rozmowy prowadzone były przez łączników. Ważne decyzje wojskowe i polityczne dochodziły do skutku również tą drogą. Rozmowy prowadzone przez łączników przy czym każdy z nich znał tylko fragment dotyczący się debat.

Polskie Państwo Podziemne rozpoczęło z roku na rok. Armia Krajowa rozwijała się w poważne Sily Zbrojne, które podejmowały coraz większe zadania operacyjne. Gdy czyta się pamiętniki oficerów Armii Krajowej — choćby wymienić głośną książkę Jana Karskiego wydaną w Ameryce pt. „Story of a Secret State” — trudno oprzeć się wrażeniu, że nasze państwo podziemne było jednym z

ARP.

Pro obu stronach Atlantyku

Prezydent Roosevelt zmarł w chwili, gdy stosunki między trzema wielkimi mocarstwami weszły w fazę szczególnie delikatną. Zakończenie wojny z Niemcami postawiło tak zw. wielką trójkę wobec nowych zadań, a pokój — o ile do właściwego pokoju dojdzie — wysunie szereg nowych zagadnień. W nowym w szczególności świetle przedstawia się wówczas stosunki anglo-amerykańskie.

Jestem nauczyciela traktował świat anglosaski jako pewnego rodzaju cywilizację, a nawet polityczną całość. Zmarły prezydent Stanów Zjednoczonych oraz premier Churchill przyzywały nas do takiego umiarkowania rzeczywistości po obu brzegach Atlantyku. Premier Churchill wiele mówił o „narodach posługujących się angielskim językiem”. Tak samo siał w sprawie prezydent Roosevelt. Wspólnie prowadzone dwie wojny światowe przetrwały mimo samemu wrogowi w Europie były, zdaje się, najbardziej jaskrawym dowodem łączności interesów wiążących dwa mocarstwa anglosaskie.

Stany Zjednoczone nie mogą istotnie dopuścić, by Wielka Brytania została pokonana przez jakiegokolwiek mocarstwo europejskie, które jednocześnie usiłowałoby zawiązać europejski mi z afrykańskimi brzegami Atlantyku. Wiemy również, że Wielka Brytania nie wygrałaby tej wojny bez pomocy Stanów Zjednoczonych. Współzależność obu mocarstw anglosaskich widoczna jest również w Azji i na Pacyfiku. Imperium brytyjskie trzyma tam „półdniową” linię obrony, idącą od Indii poprzez Singapur do Australii i Nowej Zelandii. Stany Zjednoczone mają w swym ręku linię „północną”, wiodącą poprzez wyspy Hawajskie do Filipin. Nie leży w interesie Wielkiej Brytanii, by osłabiła Stany Zjednoczone, jak i w interesie Stanów Zjednoczonych nie leży zniszczenie Imperium Brytyjskiego. Są to zasady naczelne i decydujące dla stosunków między obu mocarstwami, ale gdy zejdziemy nieco niżej w hierarchii ich celów politycznych natopkamy na poważne różnice. Wynikają one przede wszystkim z faktu, rywalizacji gospodarczej i przemysłowej obu mocarstw. Trudno sobie wyobrazić wojnę polityczną, a tym bardziej wojnę faktyczną między nimi, ale walka ekonomiczna jest możliwa. Co więcej, może ona wybuchnąć po zakończeniu wojny z Niemcami i z Japonią, o ile oba rządy zawczasu nie uregulują między sobą stosunków gospodarczych, zwłaszcza w dziedzinie handlu międzynarodowego.

Między zmierzniętymi i potężnym przemysłem amerykańskim szukać będzie po wojnie na całym świecie rynków zbytu. Na jego drodze, po zniszczeniu przemysłu niemieckiego i japońskiego, stanie przede wszystkim przemysł brytyjski oraz Brytyjska Wspólnota Narodów. Anglicy zarządzają Amerykanom, że usiłują zwrócić tej wspólnoty różni. Przed zawarciem niezależnych od Londynu traktatów handlowych z domniemany Stany Zjednoczone, chcą otworzyć tam rynek zbytu, a ponadto chcą dostać się do kolonii, undyżymarowane mandaty kolonialne Ligi Narodów, którymi dotychczas Wielka Brytania kierowała samodzielnie, usamodzielniać Indie itd.

W cytowanej już przez nas książce Sira Edwarda Grigga „British Foreign Policy” autor z dużą stanowczością, a nawet bez ogródek pisał o możliwości wojennej rywalizacji anglo-amerykańskiej na le go gospodarczym, przy czym — co trzeba zaznaczyć — nie wspominał o stanowisku amerykańskiemu z tak wyszukana miękkością, jak o polityce rosyjskiej.

Stwierdził więc, że po wojnie „pokusa gospodarczego powiększenia się nie będzie tak silną w Wielkiej Brytanii, jak w Stanach Zjednoczonych... Amerykańska polityka ekonomiczna może przyjąć formę sprzeczną z wymaganiami ustabilizowanego pokoju. Kwestionowanie jednolitości Imperium i Brytyjskiej Wspólnoty Narodów nie wynika z nieporozumień grupowych w Zjednoczonym Królestwie i nie jest wyrazem samostanowienia zmiany opinii w innych częściach Imperium. Wyjływa ono całkowicie — jeśli mamy być szczerzy — ze Stanów Zjednoczonych”.

Sir Edward Grigg widzi to niebezpieczeństwo w działaniu Stanów Zjednoczonych do usunięcia imperialnych preferencji (przywilejów) celnych, które tworzą Imperium wspólnotę gospodarczą. Rząd amerykański „zmierza do zarzucenia na Brytyjską Wspólnotę Narodów asponów tak zgubnych dla jego jednolitości”, jakim jest kłauzula największego uprzywilejowania. Autor z niemością, zwłaszcza jak na opowiadającego pisarza państw zważalac dążenia amerykańskie: „Cokolwiek się stanie nie wie zdola doprowadzić do odejścia na-

szego kraju od zasady: „przede wszystkim rodzina brytyjska”. Tutaj, a nie gdzie indziej cały spór znajduje się na szali... Zagadnienia z związane z utrzymaniem czy z porzuceniem imperialnej preferencji celnej, to nie tylko kwestia, czy świat skieruje się ku wolnemu handlu. Jest to kwestia, czy Brytyjska Wspólnota Narodów będzie lub nie będzie uważana za gospodarczą jednostkę w jej stosunkach z innymi mocarstwami... Widzeliśmy, że przyszłość świata w następnej fazie zależać będzie od współpracy Brytyjskiej Wspólnoty, Stanów Zjednoczonych i Rosji. Brytyjska Wspólnota nie będzie mogła pozostać w tej wielkiej kompanii, o ile nie pozostanie zjednoczona we wszystkich istotnie żywotnych sprawach, które dotyczyć będą jej stosunków z pozostałym światem... Zasadnicza decyzja w tej sprawie nie spoczywa w żadnym wypadku w dominach... Zasadnicza decyzja spoczywa w Zjednoczonym Królestwie”.

Mówiąc o stosunkach anglo-amerykańskich, które dla cudzoziemców stanowią „pewnego rodzaju tajemnicę” autor zaznacza, że „należy jednak przypominąć” różne opowiadania o „obecnym poglądach amerykańskich na Indie, kolonie, imperialne preferencje celne, ustawę „Lend — Lease” i dodaje: „Postawmy sprawę jasno, są to wszystkie sprawy, w których nie możemy zaprzeczyć się naszej odpowiedzialności i postępowanie inaczej, jak tylko zgodnie z naszym sumieniem...Domnia mogą prowadzić politykę jaką tylko chcą zarówno w dziedzinie gospodarczej, jak i politycznej i w sprawach międzynarodowych. Wielka Brytania nie może kontrolować ich działań i od dawna wyzwała się jakichkolwiek w tym kierunku zamiarów, ale ona, jak i one, są nam to powołane do tego, by dobrobyty Brytyjskiej Wspólnoty postawić na czele zagadnień w dziedzinie ekonomicznej i we wszystkich innych działach polityki. Postępując zaś tak, nie mogą być one oskarżane o rozpoczynanie wojny przeciwko ich głównym aliantom. Prawo to nie było kwestionowane przez Rosję i przez jakiegokolwiek inne zagraniczne państwo z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych”. W poglądzie wszakże na te sprawy stanowisko „Wielkiej Brytanii jest zdaniem autora „ustalone” (fixed).

„Narody świata musiałyby zareagować przeciw wszelkiemu gospodarstwu panowanu, które nie byłoby stosowane wspaniałości, nie mogłyby one liczyć na powstanie całkowicie liberalnej światowej gospodarki, jeżeli polityka ekonomiczna Ameryki nie oswoi podzieli się od potężnych wewnętrznych wpływów, które dotychczas nią rządziły”. Sir Edward Grigg stwierdza przy tym, że Wielka Brytania daje światu ciągle jeszcze większy rynek zbytu niż Stany Zjednoczone i że dzięki swemu systemowi bankowemu, przemysłowemu i handlowemu, znajomości świata i doświadczeniu w dziedzinie handlu międzynarodowego, posiada możliwości wciąż nie dające się z niczym porównać. Warunkiem wszakże zachowania tych możliwości jest utrzymanie imperialnej preferencji celnej.

Oczywiście autor przedstawiając w danych tak dramatycznych możliwościach rywalizacji anglo-amerykańskiej na polu gospodarczym nie przestaje podkreślać, że w dziedzinie politycznej jest zwolennikiem utrzymania sojuszu narodów alianckich, a zwłaszcza związania przymierzem Wielkiej Brytanii, Kanady i Stanów Zjednoczonych, który to alians byłby równoległy do sojuszu brytyjsko-rosyjskiego.

Zagadnienie rywalizacji gospodarczej ze Stanami Zjednoczonymi ma wszakże dla Wielkiej Brytanii znaczenie najbardziej żywotne. Jesienią ub. roku bawiła w Stanach Zjednoczonych komisja brytyjska, dla skrótu nazwana P. M. H. (Production per Man-Hour) dla zbadań wydajności pracy w przemyśle amerykańskim. Dostała ona do wniosków dla przemysłu brytyjskiego w najwyższym stopniu niepokojących. Stwierdziła, że „przeciętny robotnik amerykański wytwarza od 1,25 do 10 razy więcej w ciągu godziny, niż przeciętny robotnik angielski” („Economist”, z 28.X.1944). Dzieje się to dzięki temu, że przemysł amerykański jest zmodernizowany, posiada maszyny najbardziej nowoczesne, stosuje naukowe metody pracy, rozprowadza robotnikami znaczące nakłady na ich angielski. itp.

Wniośki te namiętnie „Economist” dość pompośnie uwagi, straszącą się w zdaniu: „Jeśli nie jest przesada twierdzić, iż Wielka Brytania nie zdoła utrzymać swej pozycji w wielkim mocarstwie, jeżeli będzie nieustannie walczyła się między powstającymi przy pomocy obcych”. Uchwaliła komisja „P. M. H.” dążyć do politycznemu rabinistrowi spraw wewnętrznych, Herberlowi

Morrisonowi, znanemu przywódcy Partii Pracy, do wystąpienia na zebraniu w Leeds 3 grudnia na temat przyszłości przemysłu brytyjskiego. Domagał się on jak najbardziej radykalnych reform w przemyśle włókienniczym, metalurgicznym, w kopalniach węgla, ich modernizacji, która zdaniem Morrisona może nastąpić jedynie przez upaństwowienie wielkich gałęzi przemysłu. Przemówienie było mylowane było koniecznością rywalizacji z Ameryką. Wrażenie tych posępnych perspektyw dla gospodarki brytyjskiej było tak silne, że brytyjski minister propagandy, a zarazem prawa ręką Churchilla, Brendan Bracken w przemówieniu wygłoszonym 20 lutego przed Royal Empire Society starał się rozprószyć fale pesymizmu, twierdząc, że chociaż dawne gałęzi przemysłu angielskiego jak np. przemysł włókienniczy, znalazły się w trudnym położeniu, to przecież powstały inne gałęzi przemysłu, jak np. chemiczny, które powinny rekompensować ponoszone na innych odcinkach straty. Ale i p. Brendan Bracken stwierdzał: „Przyszłość Anglii zależy od wielkiego wzmocnienia handlu. Nie czynimy więc niczego, co mogłoby osłabić nasz instynkt kupiecki, który przyczynił się do zbudowania naszej wielkości. Pamiętajmy również, że jeżeli przedsiębiorstwo zostanie skrupowane, nasz handel zacznie zamierać”. Była to wyraźna aluzja do fatalistycznych tendencji zarosłych w Partii Pracy — co stanowić będzie przedmiot najbliższej rozgrywki wyborczej w Anglii.

Ale niestety nie tylko rywalizacja gospodarcza wytycza różnicę między obu narodami anglosaskimi. Bertand Russell ogłosił w londyńskim piśmie „Horizon” artykuł pod tytułem „Brytyjski i amerykański nacjonalizm”. Stwierdza on, otwarcie, że „między obu państwami” wytworzył się „wielkie różnice”. „Dwa nacjonalizmy, które odczułem najżywiej były amerykański i angielski”.

Obszerny artykuł poruszał przesadne słone uciuciuwa stosunków między oba narodami, do której nie zamierzamy się mieszać, nie chcąc znaleźć się w sytuacji fałszywej. Z obszernych wszakże wywodów autora zacytujemy tylko kilka zdań: „Anglia obecna jest dla wielu Amerykanów ciągle jeszcze Anglią z ery Jerzego III. Wszystko co stało się od tamtych czasów jest być może częściowo uznane przez umysły, ale nie zostało przetrawione uczuciowo... Anglicy są nieubliżani, gdyż posiadają tytuły rodowe, mają Imperium, a z punktu widzenia społecznego są wyniośli... Czytając „Chicago Tribune” z trudem mógłby ktoś odkryć, że właściwym wrogiem są Niemcy, a nie Anglia... Nie uważam, byśmy (w stosunkach z Amerykanami) osiągnęli cokolwiek, będąc pokornymi, żyjąc jak myszy pod miodłą i śpiewając ciekawo na temat tego, co uczyniliśmy w wojnie... Amerykanie co do jednego np. uważają, że strata przez nas Singapora była haniebna, natomiast stracenie przez nich Manili było chwalebne”.

Lecz nie chcemy daleko cytować tych rozdrażnionych uwag. Znacznie większego rozgłosu nabrało wystąpienie o poważnego tygodnika londyńskiego „Economist” z dnia 30 grudnia 1944r. Pismo powołując się na ówczesne zastrzeżenia polityki amerykańskiej w stosunku do stanowiska Wielkiej Brytanii we Włoszech i Grecji wysuwało bez obłonek zagadnienie, czy bliskie stosunki między Anglią i Ameryką dadzą się w przyszłości utrzymać. Omawiając krytykę w prasie amerykańskiej polityki brytyjskiej „Economist” wywodził: „Sam rząd amerykański lub przynajmniej pewne jego działy bardziej się troszczy o dostarczanie amunicji niezadowolonym, niż o prostowanie ich dziwnych fałszywości. Odrzucając zarzuty, jakoby wyśiek wojenny brytyjskiego narodu był w wojnie niedostateczny „Economist” wytykał, że w okresie bitwy w Wielką Brytanię Stany Zjednoczone dostarczały Anglii pomocą tylko za zapłatą i transportami brytyjskim (system Cash and Carry). Krytyka brytyjskich, że prowadzą politykę równowagi siły wychodząc z ust tych, którzy domagają się aneksji przez Stany Zjednoczone wszystkich dogodnych bas morskich na obu oceanach... Wielu jest jeszcze ludzi w Wielkiej Brytanii, biorących marzenia za rzeczywistość i to ludzi z najwyższych sfer, którzy są przekonani, że nasza dobro zachowanie się wobec Ameryki da nam jako wielką nagrodę albo anglo-amerykański sojusz, albo gwarancję amerykańską, specjalną lub ogólną dla integralności brytyjskiego terytorium, lub co najmniej obietnicę przeciwdziałania się napadom skądkolwiek by one pochodziły. Chcemy być brutalnie szczerymi: nie ma już na to żadnej możliwości, jak nie jest możliwa próba amerykańska przyłączenia się do Imperium Brytyjskiego”.

Również i te słowa dyktowane były chwilową irytacją. Nie ulega jednak wątpliwości, że trudno sobie już dziś wyobrazić federację anglo - amerykańską, wejście Stanów Zjednoczonych do Imperium Brytyjskiego lub Imperium do Panameryki. Obie wielkie stolice anglosaskie chcą pozostać sobą, każda chce włączyć swoim imperium, ani jedna, ani druga nie o chcą odgrywać wobec siebie rolę drugorzędnych. W związku anglo-amerykańskim — bowiem Londyn musiałby prawdopodobnie ustąpić Waszyngtonowi, a do tego Anglia nie dopuści. Gotowa jest ona współdziałać jak najbliżej z Ameryką, ale na gruncie równości. Nie należy jednak wywodzić „Economist” dramatyzować, widząc w politycznej napaści zawsze obu mocarstw pohamowanie skrajnych wniosków oraz namierzanie i iść razem w razie poważnego zagrożenia.

Uwagi „Economist” konczyły się twierdzeniem, że Anglia nie stoi wobec jednej tylko alternatywy tj. uzależnienia się od pomocy amerykańskiej. Pismo stwierdzało, że należy położyć kres polityce „dobrochuchania”, prowadzonej na „osobistą prośbę” p. Churchilla z jej „wszystkimi upokorzeniami i poniżeniami”. I tu następował dodek niezmierznie doniosły: „Z każdym wybuchem endliowego oburzenia w Ameryce każdy zwykły Anglik staje się bardziej cyniczny w traktowaniu istoty dążeń Ameryki w sprawie czynnej z nami współpracy, staje się on o jeden stopień bardziej przekonany, że jedyna rzetelna pomoc może znaleźć się w Rosji sowieckiej”.

Dochodzimy tu do właściwego wniosku tych rozważań. Sojusz z Rosją stanowił dla wielu kół brytyjskich, zwłaszcza dla kół przemysłowych, których przedstawicielem jest „Times”, a częściowo „Economist” — zabezpieczenie nie tylko przed powalonymi Niemcami, ale i przed armiami Stanów Zjednoczonych. Im bardziej Wielka Brytania będzie uważała się za zagrożoną na gruncie ekonomicznym przez Amerykę, tym bardziej szukać będzie zbliżenia z Rosją, która dla jej przemysłu nie stanowi jeszcze poważniejszej konkurencji. Taka jest prawda, z którą trzeba się liczyć. Ma ona jeszcze inny aspekt. Wielka Brytania może obawiać się, że w t. zw. wielkiej trójce może nastąpić zbliżenie amerykańsko - sowieckie, którego ostrze byłoby zwrócone przeciwko Imperium Brytyjskiemu. Wiele już kół pracuje nad tym, zbliżeniem również ideowym tłumacząc np. Ameryce, że New Deal Roosevelta to niemal to samo co piatiletka Stalina. Narzuca to jednak Anglii pewną „kresloną taktykę” w stosunku do Rosji. Wielka Brytania nie chce być w swych posunięciach bardziej antyrosyjska niż Stany Zjednoczone. Już dwukrotnie się zdarzyło, na konferencji w Moskwie w roku 1943 i teraz w Jaltie, że mimo grónych przedkonferencyjnych pomruków antyrosyjskich w Ameryce stronną ustępującą, ciągnącą za sobą w ustępstwach Wielką Brytanię, były raczej Stany Zjednoczone. Wyznał to nawet „Times” „Economist”.

Trudno się wobec tego dziwić, że pierwszą reakcją oficjalnych czynników angielskich po śmierci prezydenta Roosevelta było pytanie, jak dalece obecnie Amerykanie popierać będą Anglików w różnych sprawach europejskich, a między innymi w sprawie polskiej. Stosunki anglo - amerykańskie mają zatem podstawowe znaczenie dla ogólnego układu w świecie, dla spraw naszych. Są sły, które chciałyby grać na rozbieżnościach anglo - amerykańskich, a nawet je rozbudzać. My do nich należeć nie możemy, ale znać te sprawy musimy.

Jakie są perspektywy stosunków anglo-amerykańskich? W amerykańskim tygodniku „Time” z dnia 16 kwietnia czytaliśmy taką notatkę:

„Korespondent „Time” donosi w ubiegłym tygodniu z Londynu: „Jestem niemal pewny, że stosunki anglo-amerykańskie znajdują się dziś w lepszej formie, niż anglo-rosyjskie”.

„Było to coś nowego. Trzy miesiące temu Brytyjczycy trzęśli się na Amerykanach. Niektórzy niepewni co do polityki Stanów Zjednoczonych byli bardziej gotowi iść z Rosją niż z Waszyngtonem. Od tego czasu jednak potęga Sowietów zaczęła wynurzać się w nowej Europie coraz bardziej i bardziej. Nawet Eden, który tak długo i tak gorliwie pracował nad porozumieniem brytyjsko - sowieckim był zmuszony powiedzieć: „Zawsze walczyliśmy, by nie dopuścić do poddania Europy jednemu mocarstwu... Gdyby podobne zagrożenie nastąpiło znowu, jestem pewien, że otrzymaliśmy ten sam wynik i wszyscy wolni ludzie z całego świata popłynęliby się znowu, jak to uczynił obecnie, by bronić swych wolności”.

ADAM DOBOSZYŃSKI

Paradoksy współczesnej ekonomii

Wyjątek z większej pracy w języku angielskim pt. „The Economics of Charity”.

W wieku dziewiętnastym ekonomista interesował się głównie wytwórczością, której bohaterem był przedsiębiorca. Dział odwrócił się o rolę, na pierwszy plan zainteresowań wrócił spóżywiec, a wraz z nim szary człowiek, tak różnie zainduszyany przez ekonomię liberalną. Co więcej, teoria ekonomiczna dochodziła ostatnio do wniosku, że im człowiek uboższy, tym cenniejszy się staje z gospodarczego punktu widzenia, a to ze względu na swą nieograniczoną dążność do spożywania (propensity to consume). W związku z tym odkryciem nastąpiła zasadnicza zmiana poglądów na skutki gospodarcze zapomóg, wypłacanych bezrobotnym. Przed piętnastu jeszcze laty ekonomisci z pianą na ustach zwalczała zasiłki dla bezrobotnych oraz roboty publiczne, organizowane dla rozładowania bezrobocia. Dziś ciż sami ekonomisci środki te zalecają, odkryli bowiem, że pieniądź wręczony bezrobotnemu wywiera dobroczynny wpływ na całość gospodarki narodowej. Pieniądź ten krąży z rąk do rąk, od piekarnika do rzemieślnika, od rzemieślnika do szewca, od szewca do dentysty, od dentysty do urzędu podatkowego czy do banku. Taki pieniądź obiega daleko poza bezpośrednim kręgiem ludzi otrzymujących zasiłki i powoduje obroty handlowo kilkakrotnie większe od pierwotnej sumy zapomóg. Obliczono, a praktyka to potwierdziła, że w krajach szczególnie głęboko pogrążonych w depresji gospodarczej milion złotych wydanych na roboty publiczne czy zasiłki zwiększa spożycie o dziesięć nawet milionów złotych, wywołując zatrudnienie dodatkowe wielokrotnie wyższe od cyfry bezrobotnych, którzy otrzymali wsparcie.

Im uboższy kraj, im większe bezrobocie, im głębsza depresja — tym wyższe współczynniki, którym trzeba pomnożyć cyfrę ludzi wspartych, by otrzymać cyfrę ludzi faktycznie zatrudnionych. Przed obecną wojną współczynnik ten wynosił w W. Brytanii mniej niż dwa, a w Stanach Zjednoczonych blisko trzy. Różnica ta miała dwie przyczyny: po pierwsze potężne brytyjskie związki zawodowe (w tym czasie związki zawodowe w Stanach Zjednoczonych miały jeszcze mało zasięg) potrafiły wymusić stosunkowo wyższy udział warstwy robotniczej w dochodzie społecznym; po drugie brytyjski system zasiłków dla bezrobotnych oraz rent starczych poprawia rozdział dochodu społecznego, łagodząc najbardziej jaskrawe niedociągnięcia kapitalizmu. Gdy w W. Brytanii wprowadzono zasiłki dla bezrobotnych, wielu ludzi obawiało się, że finanse publiczne nie wytrzymają tego obciążenia, dziś natomiast dochodzą ucheni do paradoksalnego wniosku, że zasiłki te uratowały gospodarkę brytyjską od gorszej jeszcze depresji i że majątek narodowy W. Brytanii byłby wzrastał szybciej, gdyby zasiłki były wyższe.

Rozumując teoretycznie, każdy człowiek, przez którego ręce przechodzi pieniądź pochodzący z zasiłku dla bezrobotnych, a więc gdyby piekarnik, rzemieślnik, szewc itp. puszczał ten pieniądź dalej w obieg nie oddkładał żadnych oszczędności, wspomniany wyżej współczynnik rośnie tak wysoko, że wszyscy bezrobotni znaleźliby zatrudnienie. Może się to wydać paradoksem, a jednak jest faktem, że oszczędności odkładane przez ludzi za możniejszych, mających mniejszą dążność do spożywania a większą do bezczynnego trzymania pieniędzy na kontach bankowych, hamują krążenie pieniądza i podtrzymują bezrobocie. Mnie to, jeśli w jakimś bardzo ubogim kraju o wysokim odsetku bezrobotnych wspomniany wyżej współczynnik dojdzie np. do siedmiu, a państwo będzie zabierało w formie podatków 15% wszelkich kwot wydawanych na spożycie. Skarb odbierze po pewnym czasie z powrotem wszystkie pieniądze wydane na zasiłki czy roboty publiczne. Stworzywszy przy tym zatrudnienie wielokrotnie większe od cyfry osób wspartych! Brzmii to fantastycznie, a jednak sprawdza się w praktyce, jak to się sprawdziło np. w Niemczech, które pierwsze odkryły tę cudną i wprzęgły je w służbę swych zbrojeń.

Powyższy proces zachodzi nawet w wypadku zapomóg płaconych za nic, względnie zamiast za pracę przy całkowicie zbędnych robotach publicznych, organizowanych w celu dania bezrobotnym zudzenia, że są przydatni.

Lord Keynes, czołowy ekonomista angielski, doradca finansowy rządu brytyjskiego oraz jeden z dyrektorów Banku Anglii, objaśnił na złośliwym przykładzie. Pisz on: „Gdyby Ministerstwo Skar-

łoby być gorsze niż kópanie złota? Tak musiał rozumować rząd Stanów Zj., gdy w kulminacyjnym punkcie wielkiej depresji gospodarczej lat 1930-34 rozpoczął skup srebra. Prawie milion ton srebra, zupełnie bezużytecznego, jako że nie służy ono nawet do celów monetarnych, zakupił skarb Stanów Zj. w latach 1934-40. Wyrzucił na to z górą miliard dolarów. Ludzie nie znajdujący się na ekonomii kpiłi z tego i mówili o wyrzucaniu dolarów na wiatr;

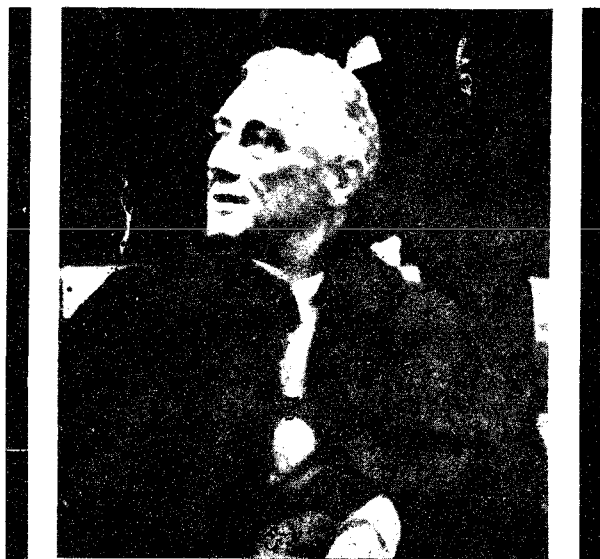
i to pod postacią wzrostu bogactwa, znalazło poparcie wiedzy.

Dwa zasadnicze odkrycia wywróciły ostatnio do góry nogami nasze poglądy na międzynarodowe krążenie kapitałów. Po pierwsze stwierdzono, że w gospodarstwie narodowym ociągającym na chronienie bezrobocia (a które z nowoczesnych państw wolne jest od tej choroby?) pożyczki udzielane zagranicy zwiększają silnie produkcję i zatrudnienie. Po drugie wykryto że, przyjmując zwrot pożyczki, państwo — wierzyciel szkodzi z reguły swej gospodarce.

Zatóżmy, że jakieś państwo ma np. sześć milionów bezrobotnych. Jak wiemy, najprostszym sposobem dania im pracy jest kazać im kopać dziury w ziemi; można też uruchomić zbrojenia albo — co już znacznie sensowniej — prowadzić roboty publiczne w dolinie rzeki Tennessey, w Indiach lub w szkockich Highlandach. Dlaczego idąc po tej samej linii rozumowania nie miałyby się wytwarzać zbędnych (dla krajowego spożycia) towarów i wysyłać je za granicę? Wszak wywóz wartości jednego miliona zwiększy spożycie krajowe o parę milionów. Będzie to szczególnie korzystny interes: powiększymy własny majątek narodowy i osiągniemy jakieś korzyści za granicą — pomożemy sprzymierzeńcowi wygrać wojnę albo przyjdziemy z pomocą jakiemuś zbiedzonemu narodowi i zaskarbimy sobie jego wdzięczność, a ponadto stworzymy trwały zbył dla naszych towarów. Osiągnąwszy tyle korzyści czy postąpimy mądrze żądając zwrotu naszych pieniędzy? Pożyczka za granicę — to wywóz towarów, spłata tej pożyczki to przywóz, a przywóz szkodzi, w wielu wypadkach własnej gospodarce państwa — wierzyciela. Oto jedno ze zdumiewających odkryć nowoczesnej ekonomii: doskonałą metodą ożywienia własnej gospodarki jest wywóz na kredyt bez żądania zapłaty. Odnosi się to oczywiście w pełni tylko do narodów takich jak np. Stany Zj., które mogą się obejść bez większego przywozu. W Brytanii nie mogłaby żyć bez ogromnego przywozu, ale i ona może ułatwić sobie rozładowanie swego bezrobocia starając się o to, by jej wywóz przewyższał przywóz o marżę, która z reguły powinna przybierać formę subsydium dla sprzymierzeńcy lub też miłosiernego daru dla któregoś z zablędzonych obszarów świata.

Ostatnie zdanie wywoła uśmiech na ustach niejednego czytelnika brytyjskiego. Wyrzucić darmo pieniądź brytyjski za granicę? Czemuż go nie pożyczasz? Odpowiedź słowami znanego pisarza brytyjskiego G. Hollisa, który napisał w książce pt. „Dwa narody”: „Te narody świata, które zaciągają pożyczki, płacą odsetki od tych pożyczek tylko o tyle, o ile ich wierzyciele pożyczają im nadal potrzebnych na to pieniędzy”. Może urodził się kiedyś jakiś dalekiwidy badacz, który podesiwnie się zmuszonego zadania, napisania prawdziwej historii międzynarodowego kredytu. Taka historia dostarczyłby wreszcie dowodu na to, że pożyczki; międzynarodowe nie są z reguły spłacane, to zaś, co miało być pożyczką, okazuje się w rezultacie mimowolnym darem. Nie zmniejsza to zresztą w żadnej mierze korzyści gospodarczych narodu wierzycielskiego, pozbawia go tylko mimobu życiowego dobroczynia, a ponadto lekko go ośmiesza. Zdarzyło się to np. Francuzom, którzy przed r. 1914 pożyczali Rosji miliardy, nie otrzymali oni wprawdzie zwrotu swych pieniędzy, ale niewątpliwie wzbogacił się na nich, a zarazem uzbili sobie sojusznika, który do pomocy im wygrać bitwę nad Marną i tym samym całą wojnę. Bezpłatne zaś gromadzenie złota, charakteryzujące politykę monetarną Francuzów w okresie 1919-1939, pozbawiło ich wpływów gospodarczych i zbrojnych sprzymierzeńców.

Stany Zj. wzmożyły ogromnie swe bogactwo dostarczając Europie (na kredyty) broni w latach 1914/18. Niestety po wojnie zażywały zapłaty. To żądanie zakłóciło poważnie gospodarkę zarówno amerykańską, jak i europejską i w rezultacie nie zostało spełnione. W przeciwnieństwie do (Dokończenie na str. 10).



Jedno z ostatnich zdjęć prezydenta St. Zjedn. A. P. Franklina Delano Roosevelta dokonane w Jaltie

bu napełniło banknotami stare butelki, zagrzebało je na dużych głębokościach w nieczynnych kopalniach węgla a następnie kazało wypełnić te kopalnie aż do wierzchu śmieciami wywożonymi z miasta, po czym pozwoliłoby przesiągnąć się prywatnej wydobywacz z powrotem te banknoty kierując się dobrze wypracowanymi zasadami laissez-faire (przy czym oczywiście prawo dobywania nie uzyskiwałoby się stając do przetargów o dzierżawę banknotonotnych obszarów), zanikłoby bezrobocie, a przy pomocy reperkusji rzeczowej dochód społeczeństwa, jak również ilość jego dóbr kapitałowych, wzrosłaby prawdopodobnie znacznie ponad obecny poziom.

Lord Keynes dodał sarkastycznie, że „budowa piramid, trzęsienia ziemi, a nawet wojny dopyty będą się przyczyniały do wzrostu majątku narodowego, dopóki wykształcenie naszych mężów stanu na zasadach ekonomii klasycznej nie dopuści do stosowania lepszych metod”. (The General Theory of Employment, Money and Interest, Londyn 1936).

Do bywania złota, zajęcie samo w sobie jałowe, staje się w tych warunkach dźwignią zamożności. Kraje pozbawione kopalni złota mogą dążyć do bogactwa wytwarzając czołgi i samoloty. „Podobnie jak wojny” — zauważa Keynes — stanowią jedyną formę wydatków, opartych na zaciąganiu pożyczek, która mogłaby stanu uważać za usprawiedliwioną, tak i do bywania złota stanowi jedyny pretekst do kópania dziur w ziemi, który bankierzy uznają za przejaw zdrowych metod finansowych”. Starożytni Egipcjanie byli mędrci od nas gdyż zwykli budować piramidy, które należy uważać za jedną z lepszych metod „nakręcania koniunktury”. Błędne jest przypuszczenie, jakoby katedry średniowieczne wznoszone tylko dla celów kultu; ich budowa stanowiła również doskonały sposób ożywienia gospodarki.

Odkopywanie banknotów wydaje się zajęciem mniej pożytecznym niż budowa dróg, dla czego jednak kópanie srebra mia-

widocznie nie byli zdolni pojąć paradoksów współczesnej gospodarki.

Jak już wspomnieliśmy, nie ma różnicy gospodarczej — choć może być różnica psychologiczna — między płacą za pracę bezużyteczną, czy też wypłatą zasiłków, za które nie żąda się wzajemnej żadnej pracy. W obu wypadkach wzrost spożycia (a więc i zatrudnienia) będzie dokładnie taki sam. Posuśmy się więc jeszcze o krok dalej i zapytajmy, co się stanie jeśli zasiłki dostaną się do rąk ludzi fizycznie niezdolnych do pracy (t. zn. nie należących do kategorii bezrobotnych), jak np. ludzi starczych, chorych, kalek itp.? Jest rzecz oczywista, że ożywienie gospodarki będzie we wszystkich tych wypadkach jednakowe, toteż W. Brytanii, cierpiąca na chroniczne bezrobocie, postępuje mądrze przysuwając w swym nowym planie ubezpieczeń społecznych (Beveridge'a) środki do życia dla każdego Brytyjczyka, któremu ich brak, zarówno dla zdolnego do pracy lecz chwilowo niezatrudnionego jak i dla ludzi znaczących wiekiem czy chorobą.

Cisnie się tu pod pióró pewne staromodne słowo, tak bardzo nie na miejscu w pracy o charakterze ekonomicznym: miłosierdzie. Trudno jednak nie użyć tego słowa, gdy mowa o pomocy dla starców i chorych. „Pomoc ubogim jest sprzeczna z zasadami ekonomii politycznej, które wzbierają prywatnego nawet miłosierdzia” — oświadczył lord Althorp, przedstawiciel rządu w Izbie Gmin w r. 1832. Nie jest to bynajmniej przypadkową zgibiem okoliczności, że tę przeraźliwą zasadę głoszone właśnie w czasie, gdy katolicyzm był w największym odpiwku, jako że staromodna doktryna katolicka bronila zawsze staromodnego poglądu, że głodującym bliźniemu należy pomóc, a nie opuszczać go i wydawać na łup „nieubieganych praw gospodarczych”.

Na szczęście prawa te dały się wreszcie ułagodzić. Zasiłek i jałmużna przestały narzucać kanony ekonomii. Znika jeszcze jeden z przesądów dziewiętnastego wieku. Odniecząc przekonanie, że miłosierdzie nagradzane jest nie tylko na tamym świecie, ale jeszcze nawet w życiu doczesnym

Grozea rządu Rumunii

Sześć miesięcy trwał upór rumuńskich żywiołów demokratycznych przeciw odnaniu rządów w ręce skrajnej lewicy. Utworzenie gabinetu pod przewodnictwem Petre Groze'a oznacza prawdopodobnie ostateczną kapitulację demokratycznych sił rumuńskich. Wątpliwe jest bowiem, by w bliskiej przyszłości zdobyły stare stronnictwa „historyczne” odzyskać utracone w dniach ostatnich pozycje. Dokonana w początki marca zmiana rządu rumuńskiego oznacza przejście od systemu gabinetu koalicyjnego do rządów jednej partii. W istocie bowiem poza fasadą liberalno-socjalistyczną nowego gabinetu kryje się jedno tylko stronnictwo: komunistyczne.

Aby jednak ocenić dokonany w Rumunii zwrot na lewo z właściwej perspektywy, trzeba przypomnieć, pokrótce przynajmniej, wypadki ostatnich kilku miesięcy.

W poszukiwaniu wewnętrznej równowagi

Przewrót z 23 sierpnia poszedł Rumunom tak gładko, że aż sami byli tym zdziwieni. Niemcy okazali się niezdolni do żadnej poważniejszej kontrakcji, kraj przeżył wypadki z zupełnym spokojem i, jak to się zawsze w Rumunii dzieje, przystosował się automatycznie do nowego rzędziny, nie bardzo z resztą wiedząc ani nawet pytając, jaki tym razem będzie kolor. Po okresie kiedy z żółto-niebieskimi mundurami totalistów Karola II rywalizowały zielone koszule „Żelaznej Gwardii”, przysłała Rumunia cztery lata panowania się kosztu bratnich i mundurów feldgrau. 23 sierpnia obiecywano jej nareszcie zwykłą, cywilną, dowolnej barwy dla każdego koszulę, chociaż pesymisteli odrzucała, że skłóczy się tak czy owak na czerwonej. Rumuni przyjmowali to jednak z filozoficznym spokojem. Mówili, że w ich historii zwyciężała zawsze na długą metę — nie tyle mo-

że odwagi, ile cierpliwości i umiejętności czekania — biała, zgrzebna koszula rumuńskiego chłopca. Wiercono, że zwycięży i tym razem.

A tymczasem problemy piętrzyły się coraz groźniej. Nicco oszołomieni własnym sukcesem demokraci, tj. ludowcy i liberałowie, rozumieci, że po przejęciu Niemców i Antonescu trzeba coś zrobić, by wypełnić próżnię wytworzoną w politycznym i społecznym życiu kraju przez destrukcyjne rządy Karola II, który pozostawił po sobie chaos, demoralizację i zamieszanie polityczne społeczeństwa. Karolowi udało się istotnie tylko jedna rzecz: podważenie wpływów i organizacji stronnictw demokratycznych i zachwianie aurytety ich przywódców. Rząd Antonescu

agitacji komunistów i dały im czas na zorganizowanie się i przeniesienie do aparatu państwowego. Wydaje się, że natychmiast po przewrocie sierpniowym rząd powinien był przystąpić do wyborów samorządowych. Zwycięstwo stuprocentowe partii demokratycznej było wówczas pewne. Dałoby im ono tytuł tymczasowy przynajmniej do rządzenia krajem. Zamiast jednak działać nie oglądając się na opór komunistów, którzy tych wyborów nie chcieli i nadal zresztą nie chcą, rząd poszedł na kunktorstwo i ustepliwość lekając się z góry Rosjan nawet w wypadkach, kiedy nie zamierzali oni wywierać nacisku. W pierwszej bowiem fazie, gdy w Rumunii reprezentowana była tylko armia czerwona, rząd rumuński miał właściwie dużą swobodę działania w sprawach politycznych.

Komuniści przechodzą do ataku

Ośmieleni biernością i dezorientacją rządu (no i, rzecz prosta, obecnością w kraju czerwonej armii) ruszyli komuniści bez zwłoki do akcji. Rozpoczęli przede wszystkim szeroko zakrojony propagandę masową. Pisma komunistyczne mnożyły się z zawrotną szybkością, a że cenzura i przydał papieru znajdowały się od początku w rękach sowieckiego dowództwa, więc prasa ta miała z góry zapewniony sukces. Jednocześnie prasa demokratyczna poczęła zniknąć: dzienniki bądź zawieszono, bądź odstawiano im papieru. W ślad za prasą poszły zgromadzenia publiczne. Nieliczne swe kadry zasilali komuniści przymusowo na wiece przysyłani robotnikami. Szło im to tym łatwiej, że udało im się opanować siłą prefektury (starostwa) i zarządy komunalne w licznych miejscowościach, skąd ad hoc zwołani tłum przepędzał po prostu stare władze. Opanowali też siła kienicwio niektórych dużych fabryk, jak np. zakładów metalurgicznych Malaxa, tramwajów oraz gazowni i elektrowni w Bukareszcie, etc. Komunistyczny minister komunikacji, Gheorghiu-Dej, objął od razu wszystkie organizacje kolejarzy.

Nie potrafił też rząd Sanatescu uregulować z Rosją sprawy wykonania warunków zawieszenia broni, nie umiał nawet bronić swego stanowiska tam, gdzie nie miał istotnie materialnej możliwości wypełnienia stawianych mu żądań (np. dostawy towarów).

Rumuńska prasa komunistyczna i radio sowieckie doprowadziły w końcu do upadku pierwszego gabinetu Sanatescu, oskarżając go o sabotowanie warunków rozejmu, tolerowanie „faszystów”, etc. 6 listopada Sanatescu otworzył drugi gabinet. Pozostał w nim Sanatescu na czele rządu tłumaczył się zaufaniem, jakim obdarzał go król, a także niemożnością zgody na się stronnictwa na „politycznego” premiera. Nowy bowiem rząd miał charakter koalicji z stronnictwami: chłopskim (Maniu), liberalnym (Brătianu), socjalistycznym (Titel Petrescu) i komunistycznym (Petrescu). Miała to być kontynuacja tzw. „frontu wolnej Rumunii” utworzonego wiosną 1944 przez te 4 partie dla obalenia Antonescu i przejścia na stronę aliantów.

Bardzo jednak szybko okazało się, że o żadnej istotnej współpracy tych stronnictw nie może być mowy. Komuniści zaczęli sować od pierwszej chwili prostą i skuteczną taktykę: ich ludzie w łonie rządu domagali się natychmiastowych, szerokich reform, praktycznie niewykonalnych (np. reforma relin w 8 tygodni, sabotażowali te akty rządu, które mogłyby podnieść jego kredyt np. świadomie przeciągali opracowywanie ustawy o ukaraniu zbrodniarzy wojennych, prasa ich zaś i zgromadzenia publiczne terrorizowały rząd nieustannymi atakami. Sanatescu szamotał się między skrzydłem demokratycznym, ku któremu ciągnęły go własne przekonania, a komunistami, których się panicznie lękał. Socjaliści, stronnictwo właściwie w Rumunii nieistniejące, szli bez reszty za komunistami.

7 listopada, w momencie tworzenia się nowego gabinetu, zjawił się niespodzianie w Bukareszcie p. Wyszyński, zastępca komisarza spraw zagranicznych ZRRR, aby zbadać na miejscu sposób wykonywania warunków zawieszenia broni. Choć obarczony tak określonej misją, p. Wyszyński b. niewiele tylko czasu poświęcił kon-

taktem z rządem rumuńskim, przyjmował natomiast chętnie delegatów zgromadzeń komunistycznych i przedstawicieli skrajnej lewicy. Już wtedy zaznaczył się żywe zainteresowanie p. Wyszyńskiego dwoma politykami: Piotrem Groze'a, szefem nowego ugrupowania komunistycznego p. n. „Frontu pracy” oraz b. premierem Jerzym Tatarescu. Odmówił natomiast p. Wyszyński wejścia w kontakt z Maniu, niosącym rumuńskich demokratów, jednomyślnie szanowanym dla swej uczciwości i czystości moralnej.

Obecność p. Wyszyńskiego dodała odwagi komunistom, którzy zdawali ataki na rząd. Działali coraz sprawniej także i dzięki temu, że krótko przedtem przybyli do Bukaresztu z Moskwy przebywający tam od dawna wybitni działacze Kominternu, rumuńska „Passionaria” Anna Pauker i niejaki Laslo Luca, z pochodzenia Węger ale również członek rumuńskiej sekcji Kominternu.

Wyodrębnił się też komuniści i w łonie rządu w osobną organizację: stworzyli manifestując, t. zw. Front narodowo-demokratyczny. Weszły doń obok komunistów i socjalistów różne fikcyjne i ad hoc tworzone partie jak: „Front pracy”, partia rolniczo-społeczna b. totalist. Rallcaia, „Unia Patriotyczna” komunisty Vladescu-Racoasa, etc. Chodziło o stworzenie pozorów wpływu na masę oraz o zmniejszenie fikcyjnego choćby wachlarza „demokratycznej koalicji” kilku stronnictw, aby móc następnie podjąć walkę przeciw ludowcom i liberałom i zepchnąć ich do roli „prawicy” i „reakcji”.

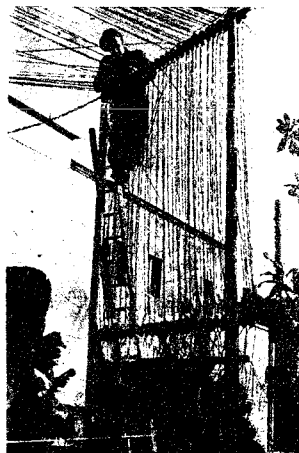
Równoległe wieg do ataków na rząd szła ostra ofensywa komunistów na partię demokratyczne, zwłaszcza na potężne stronnictwo ludowe Maniu. Pod koniec listopada 1944 kampania ta nabrała takiego natężenia, że ludowcy i liberałowie postanowili doprowadzić do przecięcia tej niemożliwej do utrzymania sytuacji. W tych dniach krytycznych zresztą wszyscy oczekiwali z chwiłą na chwilę przewrotu komunistycznego, a rolę wiecokomisarza Wyszyńskiego porównywano głośno do zadań, które w 1939 powierzano Zdanowowi w krajach bałtyckich.

Obawy te okazały się jednak przedwczesne. Gdy bowiem król zdecydował się w końcu zwołać premiera Sanatescu, a komuniści oświadczyli (uczynili to, formalnie biorąc, Front narodowo-demokratyczny, że zgodzi się na kontynuowanie rządu koalicyjnego tylko za cenę uzyskania dodatkowych portfeli spraw wewnętrznych i obrony narodowej (do owego momentu mieli w rękach: wicepremierstwo, sprawiedliwość, komunikację, opiekę społeczną, sprawy mniejszościowe i szereg podsekretariatów stanu — ludowcy i liberałowie oświadczyli, że tych warunków przyjąć nie mogą, gdyż w praktyce (znaczyłoby one oddanie komunistom pełni władzy, podczas gdy współodpowiedzialność obarczałaby nadal i partię demokratyczną).

Wtedy też nastąpiła zrzeczna i skuteczna interwencja młodego króla. Oświadczył on komunistom, że wobec rozbieżności czterech stronnictw powoła polityczny rząd fachowców. Jednocześnie — dzięki temu z 4 grudnia — wezwał król Michał komisarza Wyszyńskiego i oświadczył mu, że o ile władze sowieckie w Rumunii będą popierać anarchizującą działalność i agitację komunistów, król — nie może spełnić swej konstytucyjnej roli i zapewnić krajowi ładu i praworządności — będzie zmuszony abdykować i opuścić kraj.

Skutek tej interwencji był natychmiastowy. Wyszyński odniósł się wobec króla od wszelkiej odpowiedzialności za działalność komunistów, przypomniał deklarację Molotowa z 2 kwietnia 1944 r. o „nieingerowaniu Rosji w sprawy wewnętrzne Rumunii” i wyjaśnił, że Rosję interesuje jedynie jak najprawidłowe wykonywanie warunków zawieszenia broni. Co wańsze jednak — komuniści już nazajutrz wyczołali popieszenie swej działalności i wyrazili gotowość wejścia do nowego rządu koalicyjnego na dotychczasowych podstawach. Ustąpił też, jak na komendę, manifestacje uliczne a nawet

(Dokończenie na str. 10)



Fot. K. Hryniewicz

Suchanie uszkodzenia

był już tylko automatyczną niejako kontynuacją bezsensownego karłowatego totalitaryzmu.

Wiedzianno więc, że coś zrobić trzeba, ale nie bardzo wiedzianno co. Przypuszczano oczywiście swobody polityczne, wskrzeszono dawne organizacje partyjne, nie umiano jednak wystąpić z żadnym określonym programem na najbliższą przyszłość, nade wszystko jednak zgrzeszono — jakże ciężko — chwyciwszy i niedecydowaniem przy przejmowaniu administracji. Zamiast przystąpić od pierwszej chwili do bezwzględnej usunięcia wszystkich wyrazów skompromitowanych współpracą z Niemcami, zwlekano i wahano się, lekano się zdezorganizowania aparatu rządowego. Obawa moci i słuszna, chwilowy jednak nawet chaos administracyjny byłby był może lepszy niż dawanie skrajnej lewicy pełnego narzędzia propagandowego, jakiego ukończone natychmiast ze zbyt powolnego eliminowania żywiołów promieniejących. Stare stronnictwa miały 23 sierpnia wszystkie aluty w rękę. Kraj przechodził! Wprawdzie pod okupację armii czerwonej, komuniści jednak byli właściwie niemal nieistniejący, niezmierznie nieliczni i pobawieni przewódów na większą miarę. W tej pierwszej fazie przemian, która stała zarówno Rosję jak i komunistów nieprzeograniczone do rozwiązania zagadnienia a rumuńskiego od wewnętrznej (nie zapominajmy, że przewrót z 23 sierpnia nastąpił bez wiedzy aliantów), partię demokratyczne mogły być, jeśli nie zapobiec swym późniejszym porokom, to w każdym razie poważnie je opóźnić, a może nawet i stworzyć sobie taką sytuację taktyczną, że odsunąć ich od władzy, które tak gładko poszło niedawno, byłoby wymagało jawnej interwencji Rosji i nie daloby się domyśleć „woli mas”.

Czyż m bledem było niewątpliwie telefonowanie przez dwa i pół miesiące gabinetu pełnego może dobrej woli, ale szczepionego nieudolnego generała Sanatescu. Rząd ten nie był ani gabinetem fachowców ani politycznym, ale fatalną mieszanką obu ze złym doborem ludzi. Niedołęność tego rządu i jego brak decyzji utrudniały drogę

Amerikanów, Brytyjczycy nie domagali się po r. 1918 żadnej zapłaty od swych sprzymierzeńców, a od swych wrogów tylko tyle, by pokryć żądania Ameryki. Istnieje długa tradycja brytyjska udzielania sprzymierzeńcom, „subsidiów” (Słowo to jest dyplomatycznym synonimem słowa „dar”). Brytyjczycy rozumieją doskonale, że żądając zwrotu pieniędzy, które wystrzelano i przejeżdżano podczas wojny, naraziłby na niebezpieczeństwo nie tylko głos odarku narodu- dłużnika, ale zaszkodziłby handlowi brytyjskiemu. Amerykanie nie mieli w swych dziejach precedensu wierzytelności ogólnych, toteż popiełnił po r. 1918 ogromne błędy. Mądrzy po szkółce, przed wejściem do obecnej wojny postanowili darować W. Brytani i jej sprzymierzeńcom potrzebne im broń i materiały (takie było bowiem prawdziwe znaczenie amerykańskiej ustawy o Lease and Lend z r. 1941). Było to jedno z najgłupszych posunięć finansowych znanych w dziejach. Miećmy nadzieję, że po ukończeniu wojny Stany Zj. nie zapomną, że w ich własnym interesie leży ofiarowanie spustoszonemu krajom Europy, żywności, surowców i maszyn w formie bezwrotnych darów — a nie pożyczek.

„Ewangelia nie zna jednego prawa Miłosierdzia dla jednostek, a drugiego dla państw i narodów” — napisał Benedykt XV. Podobnie jak społeczeństwo ludzkie nie może istnieć bez praktykowania miłosierdzia wobec starych, chorych i bezbroniących, podobnie społeczeństwo narodów nie może żyć pomyślnie bez miłosierdzia międzynarodowego, bez pomocy okazywanej narodom ubogim i zcofany przez narody potężne i bogate. Społeczeństwo, w której chory leży przy gołębicy nie doczeka się swego miłosierdnego Samarytana, jest skazana na zagładę. Ten sam los czeka społeczeństwo narodów, odmawiając swym ciałom pomocy w nieszczęśliwych i pozwalając, by stawali się rozsądnymi niepokoju i rozpaczy.

Niezbędny zarządzeniem Opatrzności idealistyczna miłość i materialny dobrobyt splątane są z sobą nierozdzielnie. O to najdłuższe odkrycie współczesnej ekonomii: nie ma pomyślności bez miłosierdzia.

Adam Doboszyński

D. I. PO ŚMIERCI PREZYDENTA ROOSEVELTA

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Nagły zgon Prezydenta Roosevelta odkrył załobą cały naród amerykański, ale był też wstrząsem dla obozu sojusznicznego, którego Roosevelt był jednym z kierowników. Sowa o wyjątkowym autorytecie. Jego wpływ w ośrodku politycznym był ogromny. Jego śmierć była dla ośrodku politycznego wstrząsem. Jego śmierć była dla ośrodku politycznego wstrząsem. Jego śmierć była dla ośrodku politycznego wstrząsem.

Nowy prezydent Stanów Zjednoczonych jest człowiekiem innych wynarów niż jego wielki poprzednik. Sam, z jego wśród obywateli nazywają go „przeciętnym Amerykaninem”. Wszyscy podkreślają jego prawotę, uczciwość, znajomość spraw gospodarczych, ale jednocześnie faktem jest, że prezydent Truman stał dotychczas zdala od spraw międzynarodowych, że nie posiadał w tym zakresie tego ogromnego doświadczenia, które było udziałem zmarłego prezydenta, ani też nie wykazywał w tej dziedzinie większych ambicji. Dla zagranicy jest to człowiek całkowicie nowy, niemal nieznany. Ludzie nowi często robią niespodzianki i byle może prezydent Truman nie obciążony przeszłością w polityce zagranicznej zdola wykazać tu nową i pożyteczną inicjatywę. Narazie wszakże pozostawia on pole do działania p. Stettinowskiemu. Jemu oraz otaczającej go delegacji powierzył sprawy związane z konferencją w San Francisco, ograniczając swoją rolę głównie do ostrożnej obserwacji. Jedyną jego inicjatywą było nakłonienie marszałka Stalina do wysłania p. Molotowa na konferencję w San Francisco, co tym razem poszło łatwo, oraz nawiązanie osobistego kontaktu z brytyjskim min. spraw zagr. Edenem, który natychmiast po śmierci Roosevelta przybył do Stanów Zjednoczonych na uroczystości pogrzebowe. Utrzymanie p. Stettiniusa na stanowisku ministra spraw zagranicznych będzie, jak się zdaje, zależało od przebiegu konferencji w San Francisco.

Tymczasem wszakże wypadki toczą się szybko naprzód i wymagają nieustannych decyzji. Na czoło wysuwają się znowu sprawy europejskie.

Co z Niemcami?

W Niemczech wytworzyła się sytuacja paradoksalna. Wojska amerykańskie stanęły nad Łabą i dalej dotychczas nie mogły się posunąć, co jest zresztą zrozumiałe ze względu na skok, który tak szybko uczyniły idąc z nad Renu. Wojska sowieckie rozpoczęły natomiast ofensywę nad Niszą i na Berlin z nad Odry. Niemcy bronią się zatem w wąskim stosunkowo korytarzu między Łabą i Odrą.

Na ofensywę sowiacką zaręczał mimo to niezmiennie namiestnik Hitler, który w rozkazie do wojska utrzymywał dawny styl pienia się na "wydokułoboszczyńskiego" wroga i wzywał żołnierzy frontu wschodniego do stawiania tam jak najbardziej zdecydowanego oporu. "Kto da rozkaz odwrotu - o ile nie będzie wam dobrze znany - w mgnieniu będzie aresztowany natchniami, a w razie potrzeby z miejsca rozstrzelany bez względu na stopień jaki posiada w wojsku". Rozkaz Hitlera nazywa ofensywę sowiecką "ostatnim szturmem Azji" i zapewnia, że "Berlin pozostanie niemiecki, Wiedeń będzie znówu niemiecki, Europa nie będzie nigdy rosyjską".

Jednocześnie z drugiej strony frontu znany publicznie socjalki Ilija Ehrenburg w artykule ogłoszonym w "Czerwonej Gwieździe" wywołał, że walki na froncie wschodnim są "znacznie cięższe" niż na froncie zachodnim, że "łatwiej jest walczyć 10 miast w Wiedniu niż jedną wieś nad Odrą" i że "Królewskie nie zostały wzięte przez telefon, a Wiedeń - przez aparat fotograficzny", jak to się dzieje dokładnie na froncie zachodnim. Agencje socjalickie doniosły przecież, że w tych ciężkich czasach Niemcy zdawali przesuwać podobno 45 dywizji na front wschodni.

Artykuł Ehrenburga wywołał nieamtą-
rensację która się wzmożyła, gdy w mos-
kiewskiej „Prawdzie”, organie parti-
komunistycznej, ukazał się potępie-
ny wywód publicysty sowieckiego. Półpi-
mo wskazuje nie tylko fakt przeciwstawiania
obu frontów, gdy to w ten sposób Niemcy
„usilują wytworzyć rozłam między na-
rodami „zjednoczonymi”, ale przede wszyst-
kim użycie przez Ehrenburga wszystkich
Niemców za zbrodniarzy wojennych, którzy
w równym stopniu zasługują na karę. Au-
tor artykułu Aleksandrow, który jest szef-
em departamentu propagandy w Central-
nym Komitecie Partii Komunistycznej, po-
dsumowując z Ehrenburgiem oświadczył au-
torytatywnie: „Naród sowiecki nigdy nie uo-
ży

samiał ludzkości n-niemieckiej że zbrodnica-
kita faszyzowska, która rzadzi Rzeszą".
A więc polityka sowiecka rząd jeszcze stała
na gruncie rozróżnienia między „dobrymi”
i „złymi” Niemcami. Czyżby to mało ozna-
czać, że niebawem znowu usłyszymy o Ko-
mitetach Wolińskich Niemców w Moskwie,
o którym było głucho po konferencji w Jałcie-
cie? Komitet ten już przypomniał się opinii
wydającej apel radiowo do ludności Berlina.
Jak wiemy z doświadczenia, sprawa Komite-
tu Wolińskich Niemców wypytała zawsze,
gdy sprawy polskie zaczynają się dla Mo-
skwy zbytnio komplikować.

Trudno ustalić, jak dalece sprawy te już włączyły na decyzje dotyczące wojny z Niemcami. Faktem jest, że rozwiązały niewątpliwie polityczne poglądy, iż zakończenie wojny z Niemcami jest niemal kwestią czasu, oraz że wojna z Rosją zostanie uznana za wygrana jednostronnym osiadem zwycięstwa państw sprzymierzonych. W chwili sprzeczek nie wybrane n. p. w momencie spotkania się wojsk anglo-amerykańskich z sowieckimi. Wojna z Niemcami będzie prowadzona do końca, t. j. do całkowitego zniszczenia wszystkich ich ośrodków oporu w Alpach, w Północnych Włoszech, czy w Norwegii i do całkowitego okupowania terenów niemieckich. Takie postawienie sprawy opóźni wydanie może ambarskiej decyzji politycznych w sprawie dalszego losu Niemiec. Utrudni to także pewne próby gry na marginesie wojny...

Nowa faza w sprawie Polski

Tymczasem cała uwaga skupia się znów na zagadnieniu polskim, ujętym tak niefortunnie w uchwatach niechęci i wścieklizny. Wytworzył się tu nowe komplikacje, które wzbudziły w prasie zwłaszcza brytyjskiej cenną, a nawet fałszywą optymizm. Przede wszystkim w dalszym ciągu nie wiadomo, co dzieje się z Polakami zaproszonymi na rozmowy z władzami sowieckimi. Komunistyczne pismo w Anglii „Daily Worker” uznaje za wskazane oznajmić, że Polacy ci nie znajdują się w Moskwie. Więc gdzież są, co się z nimi stało i co się z nimi robi? Jeżeli celem tych szczególnych „rozmów” miało być wprowadzenie ich do sowieckiej kombinacji „rządowej” w Polsce oraz plecami rząd polskiego w Londynie oraz rządów brytyjskiego i amerykańskiego, to być może dowodem niepowodzenia tych planów są dalsze usilne nalegania rządu moskiewskiego, by komitet lubelski tak, jak istnieje on obecnie, reprezentował Polskę na konferencji w San Francisco. W tej sprawie rząd sowiecki wystąpił już dwiema stanowczymi notami do Stettina-Ha. Świadczyłoby to, że Moskwa nie zamierza ani o krok odstąpić od swego punktu widzenia w sprawie Polski, a przez doprowadzenie do zaproszenia agentury lubelskiej do S. Francisco zamierza zmusić do uznania przez mocarstwa anglosaskie obecnych faktów dokonanych w Polsce.

Minister Eden w dyskusji nad polityką agrarną przeprowadzoną w Izbie Gmin, aż jeszcze uprzedmiotł znane w tej sprawie stanowisko swego rządu, które streszcza w ten sposób: „Wobec utworzenia w Polsce całego nowego rządu, odcinającego się od omietu lubelskiego. Polemizując w szczególności z posiadanym przez komunistyczny rząd Galliera, minister Eden kładł nacisk na to, że musi to być rząd „nowy” i że on sam, abiegając, by przymiotnik „nowy” był wprowadzony do tekstu uchwały krymskiej,

Obecnie zaś agencja Reutersa uznała, że wskazane ogłosze, że nota Mołotowa do Stettinusa w sprawie zaproszenia agencji lu-luskiej do San Francisco stwarza „nową, trudną” w sytuacji już samej przez się „rduj”. „Reuters” zaznaczał, że Londynie podzielał optymizmu Waszyngtonu po adejściu wiadomości o przyjęciu Mołotowa do Ameryki. „Jedne jest pewne, — twierdził „Reuters” — że Moskwa nie jest w stanie odmówić, a tym bardziej porzucić nowego zdecydowanego punktu widzenia... — ten najbardziej równie sprzymerzeni... — chej odstąpić od swego punktu widzenia”. „Italia Nuova” w depeszy z Waszyngtonu onoszącej że swej strony, że „różn ce zdani między Stanami Zjednoczonymi, Anglią i wiazkiem Sowieckim na temat Polski za-howują nadal niepokojący charakter”. Według zaś agencji „United Press” Prent Truman „udzielił już Stettinusiowi-ściłych poleceń obrony anglo-amerykańs-kiego punktu w dzenia w sprawie utworze-nia nowego rządu polskiego”.

Sprawy te mają być omawiane w tych dniach na konferencji Edena, Stettinusa i Jotolowa w Ameryce. Będzie to jeszcze jedna próba znalezienia kompromisu. Premier Churchill odżył nawet z tego powodu swoje przemówienie w Izbie Gmin.

na tematy polskie, choć ta jego decyzja uważana jest za dowód, że sprawa znalazła się w punkcie martwym. Nie wiemy, jaką miała być treść mowy, gdyby jednak wierzycie agencji „United Press” mowa zawierała słowa „ciężkiej krytyki pod adresem rosyjskiej polityki w stosunku do Polski.”

Sprawy polskie będą więc rozważane na nowo. Niewiele obiecujemy sobie po zjazdach, w których uczestniczy p. Mołotow i zbyt już często kompromisy między wielkimi mocarstwami załatwiano naszym kosztem, byśmy mogli odnosić się z optymizmem do tej nowej konferencji trzech wielkich mocarstw w naszych sprawach a bez naszego udziału. P. Mołotow wszakże będzie dziś znajdował się w nieco innej sytuacji niż przed dwoma miesiącami. Dziś wojska anglo-amerykańskie stoją nad Łabą, weszły do Norwembru i w granice Czech.

Pospieszna tym razem zgoda na nieprzewidywany poprzednio wyjazd p. Mołotowa do Ameryki; była dowodem zmiany sytuacji. Po śmierci prezydenta Roosevelta, wobec zaznaczającego się zbliżenia anglo-amerykańskiego, wobec bardziej stanowczego tonu rządu angielskiego w sprawach Polski, wyjazd p. Mołotowa do Ameryki choćby w celu zorientowania się w nowej sytuacji stał się całkowicie zrozumiały.

W tej wysoce napiętej sytuacji i w chwili gdy rząd polski, a także żołnierze polscy czynią największe wysiłki, by wydłgać naszą sprawę z upadku, w którym się znalazła, nowe wystąpienie p. Mikołajczyka, uznającego jego twierdzenie i bez zastężeń uchwali w Jaitce za podstawę „przyszłości Polski”, zastępują na szczególne potępienie. Nie będziemy zastanawiali się nad moralną stroną tej smutnej enuncjacji, nad jej warszawskim charakterem, nad łamaniem przez p. Mikołajczyka, który dziś jest osobą prywatną, elementarnych zasad lojalności i dyscypliny w stosunku do własnego rządu, warto jednak zastanowić się nad polityczną celowością tego kroku. W chwili, gdy przywódcy Polski Podziemnej znaleźli się w „gościnie” sowieckiej odcięci od świata zewnętrznego, w sytuacji i „w warunkach nie dających im gwarancji swobodnej decyzji”, jak to wyraźnie podkreślał komunikat rządu, wystąpienie Mikołajczyka osłabia jeszcze bardziej ich nad wyraz ciężką pozycję wobec „partnera” sowieckiego. Albo Polacy ci nie już zrobić nic, albo w jakim razie wystąpienie p. Mikołajczyka, by było niedogodne i bezcelowe, albo próbują „rozkłócić” w warunkach nierównych, choć dość typowych. W tym ostatnim wypadku, jak się zdaje, nie zdołano dotychczas wymóc od nich zgody na dyktat sowiecki. Na dyktat ten wszakże zgadza się skwapliwie p. Mikołajczyk, który spokojnie mieszka w Londynie. Czy sądzi on, że tym swoim krokiem dopomoże przywódcom Polski Podziemnej znajdującym się w „gościnie” sowieckiej? Czy przystępuje się tym sprawie polskiej? p. Mikołajczyk przeciągał strunę. Stracił zaufanie Polaków, podciął swą reputację wśród Anglików, gdyż nawet socjaliści, czczeni „Dutty Herald” nazwa go już „nieszczęsną ofiarą tajnej dyplomacji”, nie ufają mu nawet — jak wynika to z prasy — bolotowcy, którzy nie widzą w nim Polaka o pogodnym, niezaleźnym, ale po prostu człowieku, związanego zbyt ściśle z pewnymi ideami zagranicznymi i chcącego odegrać rolę Wallenberga. Rząd Mikołajczyka nie chce. Wystarczył Bieru. Gdyby zaś chciała szerszej zgody z Polakami, to ściskały się wprost do rządu polskiego, który jedynie winny jest przynajmniej zobowiązania w sprawie polskiej.

Sojusz sowiecko-jugosłowiański

Polityka sowiecka w nowej sytuacji, która się wytwarza, nie jest oczywiście zobowiązana różnych jeszcze argumentów poza przebrzmiałą już mżliwością zawarcia odrębnego pokoju z Niemcami. Ma je-
zeczne Komitet Wolyńch Niemców w Msk-
w. Próbuje stabilizować swe wpływy na
Wschodnią Europę. Zawarcie sojuszu sowieko-
polskiego jest jednym z wyrazów
polityki ogłoszony tekst sowiętów zawie-
szania szereg ciężkich momentów. Budzi on
różne uwagi. Zawarty on został na okres
at 20 w chwili gdy wojna w Europie i
na Dalekim Wschodzie jest skończona.
Warior wszystkich państw walczyących w
tych warunkach jest oczywiście dość
krucho. Anglosasmy mówią: „anu twier-
dzą, że okupacja Niemiec potrwa onaj-
mniej przez okres jednego roku”. A Jak
należy więc interpretować warior sojuszu,
który ma zagraw w wypadku, gdy „jedna
ze stron zawierających sojusz zostanie po-
winie wplątana w operacje wojenne prze-
ciwko Niemcom lub przeciwko ka demu,
nemmu rzącowi, który mógłby zawrzeć z
Niemcami sojusz oficjalnie czy nieoficjal-

nie". Wynikałoby z tego, że albo sojusz sowiecko-jugosłowiański zawarty na okres lat 20, a więc krótszy od życia jednego pokolenia, wymierzony jest nie *tylko* przeciwko Niemcom, albo też świadczy to, że narody zjednoczone nie uzgodniły dotychczas ich powojennej polityki w stosunku do Niemiec. A dalej: w jaki sposób da się pogodzić ten pakt regionalny z planem organizacji pokoju i bezpieczeństwa światowego?

Sojusz sowiecko-jugosłowiański stwarza, specjalną sytuację dla Włoch, które znajdują się, jak wiadomo, w brytyjskiej strefie wpływów. Wobec istnienia paktu francusko-sowieckiego i sowiecko-jugosłowiańskiego Włochy stojące poza ramami tych paktów znalazły się więc w sytuacji dość szczególnej mając za sąsiadów państwa, których polityka kontynentalna układa się inaczej, niż to projektowano w Londynie. W Waszyngtonie i w Dumbarton Oaks. Konsekwencje takiej sytuacji mogą rozwinąć się w kierunkach nieprzewidzianych nie tylko dla Włoch, ale przede wszystkim dla Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych.

Znaczenie sojuszu jugosłowiańsko-sowieckiego zostało wzmocnione oświadczeniem Tita, złożonym w Moskwie korespondentowi „New York Times”. Tę żądał przyłączenia do Jugosławii Triestu oraz prowincji włoskich Istrii i Gorizj. Wysuwa on pretensje również do austriackiej Karyntii oraz zaznacza, że Jugosławia nie będzie się sprzeciwiała przyłączeniu greckiej części Macedonii, o ile będzie sobie tego życzyła. Pretensje marsz. Tita do Triestu wywołały we Włoszech niemiłe poruszenie. Włoska Rada Ministrów zareagowała na nie specjalną uchwałą wypowiadającą się przeciwko poruszaniu spraw terytorialnych w czasie trwania wojny i wydziałką do przyznanego omawiania i decydowania o tych kwestiach przez oba narody w ramach przyszłego pokoju i po przeprowadzeniu wyborów w obu krajach. „Manchester Guardian” omawiając wydwał Tita zaznaczał ze swej strony, że „rozstrzygnięcie tych spraw w rozmowach, którym towarzyszą karabiny i bagnety, nie jest dobrą zapowiedzią”. „Manchester Guardian” w zasadzie również wolało, by sprawy terytorialne były omawiane w sposób pokojowy. Zasadę tę wszakże złamało już raz w stosunku do Polski. Naraził „Manchester Guardian” proponuje, by Triest i Istrię wywołali razem z Grecją, włoską, brytyjską i amerykańską, a nie z francuskimi marsz. Tito. Oczywiście wszyscy zdają sobie sprawę, że w obecnych warunkach granice Jugosławii; na zachodzie wyznaczać będą jednocześnie granice rosyjskiej sfery wpływów jak i stanowisk strategicznych Związku Sowieckiego w Europie. „Manchester Guardian” dobitnie zaznaczał że i te sprawy podlegają konferencji w San Francisco.

Brytyjskie zastrzeżenia

Tymczasem konferencja w San Francisco budzi coraz większe zastrzeżenia. Wysługa je z kolei brytyjska konferencja wimperalna, która niedawno zakończyła prace w Londynie zapowiadając, że w San Francisco wystąpi ona jako „jedna rodzina”. Konferencja powołała uchwały popierające na ogół propozycje podjęte w Dumbarton Oaks, ale stwierdzała, że stanowić one winny podstawę przyszłego statutu bezpieczeństwa światowego, a więc nie wyłącza w nich zmian. Jeden z korespondentów „Reutersa” podał do wiadomości, że ze strony brytyjskiej wysunięta będzie „konstruktywna krytyka” powyższych w Dumbarton Oaks postanowień, krytyka, która może przeobrazić się w „złogłoszonych porańk”. W szczególności domnia brytyjskie zamierzają zgłosić projekt umniejszenia mocarstw za „średnie” i przyznania im pozycji między wielkimi mocarstwami i małymi. W Izbie Lordów zaś odezwali się poważne zastrzeżenia pod adresem konferencji Lord Templewood, b. ambasador brytyjski w Hiszpanii, oświadczył, że świat „wraca znowu do Okresu polityki siły” a „szary człowiek i małe państwa mają być podporządkowane potrzebom wielkich mocarstw”. Znany powszechnie Lord Beveridge sprzeciwiał się prawu veto dla wielkich mocarstw, które je „stawia poza prawem”. Lord Samuel również krytykował „procedurę głosowania w międzynarodowej organizacji”. Wskazywał jednak, że jeżeli tylko pod tym warunkiem nastąpi zgoda, się przystąpi do międzynarodowej organizacji, w takim razie trzeba będzie o ustępstwo uciąć.

Wydaje się więc, że poszczególne państwa amerykańskie zamierzają odegrać w San Francisco rolę dość niezależną. Świadczy o tym między innymi porozumienie zawarte między Australią i Francją w sprawie

(Dokończenie na str. 6)

Oświadczenie polskie

5 kwietnia 1945 r. Adam Pragier, minister Informacji, złożył następujące oświadczenie w związku z ogłoszeniem przez rząd brytyjski, tekstu brytyjsko - polskiego układu o wzajemnej pomocy z 25 sierpnia 1939 r., wraz z tajnym protokołem.

„Od momentu zawarcia układu o wzajemnej pomocy rząd polski wypełniał wszystkie zobowiązania wynikające z tego układu, oddając w tym celu wszystkie siły państwa polskiego i jego siły zbrojne. Naród polski jest głęboko przekonany, że rząd brytyjski wypełni postanowienia sojuszu polsko - brytyjskiego z tą samą lojalnością.

„Uważam, że tekst układu i protokołu zostały opublikowane we właściwym czasie”.

Deklaracja Zw. Socjalistów Polskich w Stanach Zjednoczonych

„Decyzje Konferencji Krymskiej, powzięte w sprawie Polski, stanowią dyktat narzucający Narodowi Polskiemu polityczną niewolę i pozbawiający Państwo Polskie — niepodległości.

„Decyzje Konferencji Krymskiej, akceptując tzw. linię Curzona, jako wschodnią granicę Polski, potwierdzają rozbiór Rzeczypospolitej Polskiej, dokonany przez Stalina i Hitlera, we wrześniu 1939 roku. Decyzje te są, w istocie rzeczy, uznaniem przez Prezydenta Roosevelta i przez premiera Churchilla, układu Ribbentrop-Mołotowa, w swoim czasie potępionego przez światową opinię demokratyczną a tedy i przez opinię publiczną naszego kraju, jako układu koronującego zdradziecki napad Niemiec i Rosji na Polskę, która pierwsza i o własnych tylko siłach przeciwstawiła się agresji Hitlera, czerpiącej na wolność narodów europejskich.

„Decyzje Konferencji Krymskiej są dyktatem, godzącym w niepodległość Polski, na podobieństwo dyktatu monarchijskiego, który przypieczętował koniec niepodległego bytu Czechosłowacji.

„Decyzje te powzięte zostały bez wiedzy i zgody Polaków, poza plecami legalnego, zarówno konstytucyjnego-prawnie jak i politycznie-narodowego, Rządu Polskiego, urzędującego obecnie w Londynie. Poza plecami Rządu Polskiego, mającego za sobą poparcie Kraju, jego zorganizowanych sił politycznych i zbrojnych oraz cieszącego się zaufaniem Armii Polskiej, bohatersko walczącej, obok armii alianckich na różnych frontach europejskiego teatru wojny.

„Decyzje Krymskie narzucają Narodowi Polskiemu rady agentów Stalina. Uznaniem przez Konferencję Krymską grupy agentów sowieckich, usurpujących sobie tytuły i uprawnienia Rządu Polskiego, zaś w „istocie rzeczy działających tylko w o parciu o siłę okupanta sowieckiego, za podstawę do tworzenia nowego rządu fałszywie, z góry nazwanego „rządem jednolitości narodowej”, jest pogwałceniem zasadniczych praw Narodów Polskiego do rządzenia się według własnej woli i bez nacisku obecnej siły politycznej i zbrojnej. Zapowiedź dobrania do lubelskiej grupy agentów sowieckich działaczy politycznych z Kraju i zagranicą, dobrania dokonywanego pod kontrolą i za zgodą obcej komisji, rezydującej w Moskwie, pozbawiającej pod prezydencją M. Stalina, tego samego Mołotowa, który przytłaczał się do zbrodni rozbioru Polski przez Hitlera i Stalina w roku 1939, jest tylko zabiegiem dyplomatycznym obłudny mający osłonić sprzeczną z zasadami moralno-prawnymi, decyzję Konferencji Krymskiej i onamieć opinię publiczną w krajach demokratycznych, przede wszystkim zaś w naszym kraju i w Wielkiej Brytanii.

„Narodu Polskiego tymi metodami otumanianie się nie da.

„Polonii Amerykańskiej w ten sposób w błąd wprowadzić się nie uda.

„Związek Socjalistów Polskich w Stanach Zjednoczonych uważa decyzje Konferencji Krymskiej, odnoszące się do Polski, za gwałcenie zasad, ujętych w Kartę Atlantyczną, tych zasad, w których imię i dla których realizacji kraj nasz stanął do walki z hitleryzmem i imperializmem.

DOKUMENTY

„Związek Socjalistów Polskich protestuje przeciw decyzjom Konferencji Krymskiej, potwierdzającym nowy rozbiór Polski, narzucającym Narodowi Polskiemu rząd, złożony w całości czy też większości z agentów sowieckich.

„Związek Socjalistów Polskich stwierdza, że jedynym legalnym rządem Polskim, jest tylko Rząd, pozostający obecnie pod prezydenturą Tomasza Arceiszewskiego, Rząd utworzony zgodnie z konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej.

„Odrzucając decyzje Konferencji Krymskiej, dotyczące Polski, jako obywatela amerykańskiego, nie tylko dlatego, że śmiertelnie krzywdzą Polskę, natchnienie Narodów Zjednoczonych, ale również i dlatego, że współudział Prezydenta naszego kraju w akcie potwierdzającym rozbiór

szej Republiki, musi pozostawać na wszech czasach niegasnącym ogniskiem promieniującym na cały świat wolności.

Komitet Wykonawczy Zw. Socjalistów Polskich w Stanach Zjednoczonych
New York, dn. 19 lutego 1945 r.

We Francji

W Aulnay s/Bois (dep. Seine et Oise), Organizacja Pomocy Ojczyźnie, wchodząca w skład Komitetu Wyzwolenia Narodowego we Francji (jest to nazwa ekspozytury Komitetu Lubelskiego) zwołała zebranie wszystkich Polaków. Na zebranie to przybyło wielu członków organizacji polskich nie wchodzących w ramy PKWN.

Gdy określił: oni swe stanowisko, prote-

Pomocy Ojczyźnie, będąca ekspozyturą Komitetu Lubelskiego, na którym to zebraniu organizatorzy z PKWN z Paryża nie pozwolili wypowiedzieć się zgromadzonym wbrew ogólnej przyjętej zasadzie demokracji — stwierdzamy uroczystie naszą niezłomną wolę walki z hitlerowskim najeźdźcą. Przecistawiamy się jednocześnie w sposób najbardziej katoryczny niesprawiedliwym decyzjom powziętym na konferencji w Jaltcie, a które to decyzje pozbawiają Polskę niepodległości, jak również swobodnego organizowania się u siebie w domu, oraz zabierają nam połowę naszej ziemi ojczystej.

„W tragicznej sytuacji, w jakiej znajduje się dzisiaj Polska, ślubujemy stać twardo na stanowisku pełnej niezależności Państwa Polskiego i dać jak największe poparcie władzom Rzeczypospolitej, których zadaniem jest obrona pełnej niezawisłości Polski i dopilnowanie wypełnienia zobowiązań zaciągniętych w stosunku do Polski przez naszych sojuszników.

„Domagamy się, ażeby zarówno w życiu wewnętrznym, jak i w życiu międzynarodowym były stosowane zasady pełnej i uczciwej demokracji. Przecistawiamy się metodom dyktatorskim pozbawienia wolności: słowa w środowiskach robotniczych polskich przez agentów PKWN jak i pozbawiania na terenie międzynarodowym głosu Ludu Polskiego, w sprawach dotyczących całości granic Państwa Polskiego, jak i w sprawach przyszłości Narodu Polskiego.

„Niech żyje wolna, nie zależna i demokratyczna, Polska”.

Emigracja polska we Francji zajmuje (z niewielkimi bardzo wyjątkami) jednolite stanowisko w sprawie uchwał konferencji krymskiej. Wyrazem tego są liczne uchwały potępiające postanowienia Wielkiej Trójki, oraz wyrażające solidarność ze stanowiskiem zajmującym przez rząd polski w Londynie.

Stale nadchodzą uchwały z kolonii polskich. Podobne uchwały nadeszły z Dourges, gdzie odbył się nadzwyczajny zjazd zarządców kół Związku b. Kombatantów, z Escadain (Nord), gdzie w zebraniu wzięło udział 7 polskich towarzystw i organizacji, z zebrania 6 towarzystw w Pont de la Deule, z Haillicourt (P-d-C), z zebrania Miejskowego Komitetu Walki.

W rezolucjach uchwalonych jednogłośnie, emigracja polska we Francji wyraża rząd polski, aby „nie ustępować za swych praw, by ofiarą przelanej krwi polskich żołnierzy na wszystkich frontach nie pozostawać na marne”, protestuje wobec całego cywilizowanego świata przeciw postanowieniom Wielkiej Trójki, zapadłym bez wiedzy i zgody Rządu Polskiego”. Podkreślając „konieczność nawiązania stosunków sąsiedzkich zwłaszcza z sąsiedem wschodnim, jednak nie za cenę ustępstw terytorialnych, lecz drogą obopólnego porozumienia”, wychodzi polskie „protestuje energicznie przeciwko Komitetowi Lubelskiemu, który prowadzi politykę antypolską i dzieli Polskę jeszcze przed jej uwolnieniem”. Wychodzi stąd polskie „żąda „zachodnich terytoriów dla Polski, jak Prusy Wschodnie, Śląsk i Pomorze, nie jako rekompensaty, gdyż są to ziemie czysto polskie zabrane Polsce przez Niemców w sposób haniebny i podstępny”.

W rezolucji uchwalonej w Dourges na Zjeździe b. Kombatantów czytamy: „Wzywamy wszystkich prawdziwych synów Ojczyzny do stania na straży całości Polski i oświadczenia uroczyste, że mimo naszych poświęceń, które oddaliśmy Ojczyźnie kiedyś, dzisiaj dalej jesteśmy gotowi stanąć na jej zew w obronie Jej świętych praw”.

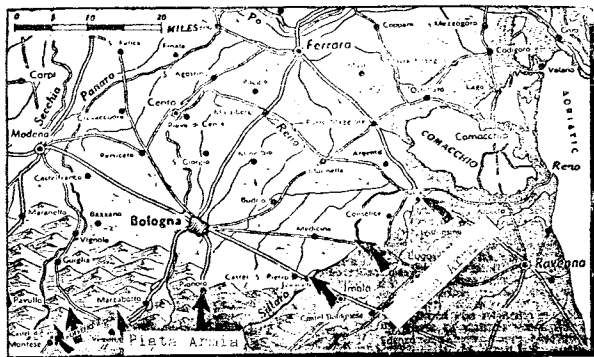
Biuro poszukiwań

W Delegaturze P.C.K. przy Dowództwie czynne jest „Biuro poszukiwań” zaginionych jeńców, przesyłki listów etc.

Godziny urzędowania od 9-3 g. Cers 0

Umberto 303 II p.

D. I.



Sytuacja na odcinku adriatyckim frontu włoskiego dnia 17.IV.1945 r.

Polski, dokonany przez Stalina w zmoście z Hitlerem, w akcie gwałcenia wolności i niepodległość Narodów Polskiego i Państwa Polskiego, łamiąc zasady Karty Atlantycznej, godzi w dobre imię i honor Stanów Zjednoczonych.

„Kraj nasz wywalczony sobie w krwawych bojach wolność i niepodległość. W myśl nakazów Jerzego Washingtona, w myśl wskazań przekazanych Narodowi Amerykańskiemu przez wielkich Ojców nasztępującej rezolucji:

„My Polacy z kolonii Aulnay pozostał: na zebraniu zwołanym przez Organizację stając przeciwko decyzjom krymskim, usiłowałem nie dopuścić ich do głosu, a nawet usunąć z sali. Gdy okazało się jednak, że zwolennicy PKWN są w mniejszości, organizatorzy zebrania rozważali i opuścili salę oburżając się na „faszystowskie” poglądy przeciwnych im większości. Pozostali na sali uczestnicy zebrania uchwalili następującą rezolucję:

„My Polacy z kolonii Aulnay pozostał: na zebraniu zwołanym przez Organizację stając przeciwko decyzjom krymskim, usiłowałem nie dopuścić ich do głosu, a nawet usunąć z sali. Gdy okazało się jednak, że zwolennicy PKWN są w mniejszości, organizatorzy zebrania rozważali i opuścili salę oburżając się na „faszystowskie” poglądy przeciwnych im większości. Pozostali na sali uczestnicy zebrania uchwalili następującą rezolucję:

PO ŚMIERCI PREZ. ROOSEVELTA

(Dokończenie ze str. 5).

utrzymania status quo w posiadłościach francuskich i australijskich na Pacyfiku. Porozumienie dotyczy również mandatów francuskich i australijskich na tych obszarach. Wydaje się, że między państwami europejskimi posiadającymi kolonie, których statut jest obecnie krytykowany zwłaszcza w Ameryce, dochodzi do zbliżenia celem wspólnej obrony zagrożonych interesów.

Wątpliwości w stosunku do zarysowującej się współpracy międzynarodowej wysuwane są również w Ameryce. Prezydent Truman w pierwszym swym przemówieniu w Kongresie, gdzie zapowiedział przerwienie dalekiej walki aż do zwycięstwa i kroczące śladami prezydenta Roosevelta, nie omieszkał zaznaczyć, że choć wielkie mocarstwa posiadają szczególną odpowiedzialność za utrzymanie pokoju, odpowiedzialność ta „oparta jest na obowiązku wobec wszystkich państw dużych i małych nie stosowania siły w stosunkach między narodowych, jak tylko dla obrony prawa. Zadaniem wielkich państw jest służyć, a nie panować nad ludami świata.”

Zasadniczą uchwałę powziął również katolicki episkopat amerykański w sprawie „organizacji pokoju międzynarodowego”. Uchwała zawiera krytykę projektowanej organizacji, potępia jej rzekomy „realizm”, stoi na „gruncie równości suwerenności” wszystkich państw, sprzeciwia się nadmiernym prawom rady bezpieczeństwa i porusza w szczególności zagrożenie Polski, które nie zostało właściwie potraktowane w Jaltcie, niepokoi też również o los państw bałtyckich.

Znamienna jest również z tego punktu

widzenia encykliki Piusa XII wydana z okazji zbliżającego się miesiąca maja i wzywająca do modłów o pokój „prawdzą i szczerą”.

Naród Polski w walce

Pokój nie będzie ani „prawdziwy” ani „szczerzy”, jeżeli ci, którzy najwięcej poświęcili w tej wojnie dla zwycięstwa wspólnej sprawie, nie będą mogli być u siebie w wolności, lub nawet wrócić do swej ojczyzny w wyniku wspólnie odniesionego zwycięstwa. Tymczasem w chwili, gdy znów toczą się targi o Polskę, naród nasz jest w walce nie z wrogiem, ale z politykami, którzy nie patrząc na sprawy międzynarodowe, a także na sprawy własnych, małych ludzi, którzy nie potrafili stanąć na wysokości chwili dziejowej, żołnierzy polski, tak jak mu to mówił Wódz Naczelny, walczą nadal o te same cele, w których obronie chwycił za oręż w roku 1939. Żołnierze 2. Korpusu stoją u brzołb Bolonii. Żołnierze 1. Dywizji Pancernej dotarli do morza Południowego, przyczyniając się do odcięcia Niemców w Hlandii. W Niemczech zaś wojska sprzymierzone odnajdują tysiące Polaków, mężczyzn i kobiet, żołnierzy tej wielkiej wojny światowej i Amierzy z kampanii wrześniowej, z Armii Krajowej, z Powstania Warszawskiego. Wszyscy oni znów skupiają się pod polskimi sztandarami. Pokój, któryby tym setkom tysięcy ludzi, bohaterom i ofiarom tej wojny, nie otworzył drog do Polski naprawdę wolnej, nie byłby pokojem ani prawdziwym, ani szczerzym, nie byłby wogóle pokojem, choćby niewiadomo jak wspaniale brzmiały uchwały podejmowane w San Francisco.

JARO LANZHOTSKY

Nowy rząd Benesza

I JEGO NOWY PROGRAM

Od jednego z naszych przyjaciół słowackich otrzymaliśmy nadesłany z granicy poniższy artykuł.

Radio moskiewskie podało wiadomości o przyjeździe p. Benesza do Słowacji. Z Moskwy do Humennego (wschodnia Słowacja) jechał p. Benesz ze swoim orszakiem pociągami, a z Humennego aż do Koszyc samochodem. Na drodze tej długość 60 km witali go wszędzie — według radia moskiewskiego — chłopcy słowacy, którzy ofiarowywali mu chleb i sól. Na bramach triumfalnych — znowu według radia moskiewskiego — były napisy „Stawa naszymu oswobodzicielowi marszałkowi Stalinowi!”.

Czeskie radio z Londynu zanapokoilo się tym punktem powitania p. Benesza. Jest ono zdania, że to Benesz jest oswobodzicielem tej części Słowacji, że to jemu należały się nie tylko bramy triumfalne i chleb i sól, ale i odpowiednie napisy. Dlatego też audycje radia moskiewskiego Cześci cytowali w Londynie bez napawów umieszczonych na bramach triumfalnych. A dzisiaj znowu we wschodniej Słowacji: „Stawa naszymu oswobodzicielowi marszałkowi Stalinowi!”.

Z pod tych bram triumfalnych p. Benesz pojechał prosto do Koszyc i natychmiast następnego dnia 4. kwietnia 1945 r. utworzył „nowy rząd”, którego skład przywiozł już gotowy z Moskwy. Przyjrzyjmy się temu nowemu rządowi.

Prezydium nowego rządu

Premierem nowego rządu został skrajny socjalista Zdenek Fierlinger. Ma lat 54, od r. 1920 był posłem p. Benesza w Danii, Ruunii i Stanach Zjednoczonych. Od r. 1942 był ambasadorem w Moskwie. To mówi samo za siebie, ale trzeba podkreślić jeszcze: inne szczegóły. Człowiek, który ćwierć wieku strawił w dyplomacji, a więc daleko od polityki wewnętrznej — został zakwalifikowany na premiera. W polityce zagranicznej mógł się p. Fierlinger orientować; ale czy potrafi prowadzić politykę wewnętrzną — bądzmy sprawiedliwi — to jeszcze zobaczymy.

Do pomocy dostał premier pięciu wicepremierów, trzech Czechów i dwóch Słowaków. Wicepremierami czeskiimi są: przewodniczący czeskiej partii komunistycznej Klement Gottwald, który od roku 1938 przebywał na emigracji w Moskwie. Drugim wicepremierem jest Józef David, poseł partii narodowych socjalistów, który od r. 1938 przebywał na emigracji w Londynie. I wreszcie wicepremierem został również Mons. Jan Szramek, przewodniczący partii katolików czeskich, który od r. 1939 był przewodniczącym rządu Benesza w Londynie.

W przeciwieństwie do czeskich członków prezydium, którzy wszyscy byli na emigracji albo w Moskwie, albo w Londynie, Słowacja ma w nowym rządzie dwóch wicepremierów, którzy wyszli ze słowackich obozów koncentracyjnych. Pierwszy jest przewodniczącym komunistów słowackich Wilam Szroky. Był w słowackim obozie koncentracyjnym, skąd uciekł do Moskwy. Drugim wicepremierem jest b. przewodniczący partii agrarnej Hodzja na Słowacji, Jan Ursiny. Również przebywał przez jakiś czas w słowackim obozie koncentracyjnym, został z niego zwolniony, a potem brał udział w rewolucji wojska słowackiego w sierpniu 1944 r. Po zgnieciu u rewolucji Ursiny samolotem sowieckim uciekł ze Słowacji do Moskwy.

Ministrowie

W rządzie Fierlingera ministrem spraw zagranicznych został Jan Masaryk, który od roku 1920 był posłem najpierw w Stanach Zjednoczonych, a potem w Londynie. Ministrem spraw wewnętrznych jest bardzo zdolny komunistą Wacław Nosek. poprzednio emigrant w Londynie. Przed emigracją był w Pradze sekretarzem Związku Górników — komunistów.

Ministrem skarbu jest Słowak, dr. Vavro Szrobar, lekarz z zawodu, polityczną reprezentację kierunek czechosłowacki. Jest on przewodniczącym Słowackiej Rady

Narodowej w Koszycach, która pod względem politycznym kierowała powstaniem wojska słowackiego przeciwko Niemcom w sierpniu ub. r. Ma lat 78, jest ateistą z przekonania.

Ministrem handlu zagranicznego jest Hubert Ripka. Za czasów republiki był on redaktorem politycznym „Lidových Novin” i uchodził za rzecznika Masaryka i Benesza. Na emigracji został ministrem propagandy w rządzie Szramka.

Ministrem handlu wewnętrznego jest młody słowacki adwokat, dr. Ivan Pietor. Jest zwolennikiem idei czechosłowackiej, nie odgrywał żadnej roli w jakiegokolwiek słowackiej partii politycznej. Ateista z przekonania.

Ministrem szkolnictwa jest Zdenek Nejedly. Do r. 1938 był profesorem uniwersytetu w Pradze, a następnie profesorem uniwersytetu w Moskwie. Ideowy komunista i zdecydowany ateista. Ma 67 lat.

Ministrem propagandy został b. redaktor „Rudeho Prava” i poseł partii komunistycznej w Pradze, Wacław Kopecky. Od roku 1938 w Moskwie, lat 48.

Ministrem rolnictwa jest redaktor komunistycznych wydawnictw, Słowak Juliusz Diurisz, od roku 1938 w Moskwie. Ministrem przemysłu jest gen. Ludwik Svoboda, od roku 1939 organizował wojsko czeskie najpierw w Polsce, a potem w Z.S.S.R. Utworzył pierwszą brygadę czeską, której połowa padła w walkach o przełomy w Karpatach.

Ministrem kolei jest gen. Niszborski, b. szef wojskowej kancelarii Benesza w Londynie. Ministrem poczty został Mons. Franciszek Hała, czeski ksiądz katolicki z Brna Mor., b. generalny sekretarz partii Szramka na Morawach.

Ministrem zdrowia jest Adolf Prochaska, sędzia z Brna Mor., jeden z najwybitniejszych przywódców partii Szramka. Ministrem opieki społecznej jest młody około 33-letni słowacki adwokat dr. Józef Szoltész. Od roku 1944 członek partii komunistycznej.

Ministrem sprawozdacji jest socjalny demokrat Wacław Mayer, b. sekretarz partii socjalno-demokratycznej. Ministrem sprawiedliwości jest dr. Jaroslav Stranysky, poseł partii Benesza i naczelny redaktor „Lidových Novin”.

Jak widać z powyższego zestawienia, najważniejsze resorty zostały opasowane przez komunistów, który ponadto mają dwóch wicepremierów.

Słowacja w nowym rządzie

Nowy rząd rozwiązał wszystkie partie polityczne na Słowacji, a więc i partię ks. Hlinki, największą i najwybitniejszą na Słowacji. Stłuczone utworzone zostały dwie partie, komunistyczna (z którą się połączyła patria socjalno-demokratyczna i partia Benesza) oraz partia demokratyczna, w której znaleźli się przywódcy b. partii agrarnej Hodzji i innych małych partii liberalnych.

Niedawno Cześci wydał, w Rzymie broszurkę p. n. „Slovachia e Ucraina Carpatica”, którą napisał zawsze, jak wiadomo, dobrze poinformowany czeski minister propagandy Ripka. Na str. 19 tej broszurki czytamy, że programem rządu Benesza w Londynie jest: „Oswobodzenie Rusi Podkarpaciej w ramach Czecho-Słowacji”. Dalej czytamy, że: „Ukraińcy Karpaccy manifestowali swoją wierność i oddanie republice”.

Tak pisał czeski minister propagandy Ripka kilka miesięcy temu. Natomiast rzeczywistość wyglądała w ten sposób, że Ruś Podkarpacka, która miała być „w ramach Czecho-Słowacji” i która manifestowała swoją „wierność i oddanie”, od razu została Karpacką Ukrainą i po cichu została przyłączona do Charkowa jako jedna z przyszłych republik sowieckich w Środkowej Europie.

Dlatego też w rządzie Fierlingera nie ma ani jednego Rusina. Trzeba tutaj zaznaczyć, że sprzymierzeni tak samo jak i Stalin uznali Czecho-Słowację w jej granicach z roku 1939, ale to, co powstało w roku 1941, czego Benesz jest prezydentem, a Fierlinger premierem, to nie jest ta

przez sprzymierzonych uznana i zagwarantowana republika z 1939 roku. Tak więc nastąpiła nowa sytuacja. Muszą wypowiedzieć się jeszcze i sprzymierzeni zachodni, jak i najbardziej zainteresowana tym Polska. Przede wszystkim muszą wypowiedzieć się Słowacy, którzy mają żyć pod taką władzą Benesza i Fierlingera.

Program słowacki nowego rządu

Rząd Fierlingera jest świadom trudności, z jakimi obecnie i jeszcze w wyższym stopniu w przyszłości zetknie się na Słowacji, gdzie zawsze był silny ruch narodowy i duża religijność. Program, w którym Fierlinger chce zyskać przyjaźń i poparcie Słowaków, wygląda w ten sposób:

1. Nowy rząd uznaje Słowaków jako samodzielną narod.

2. Słowacy mają być panami na Słowacji tak jak Cześci w Czechach.



Szlauder oddziału słowackiego walczącego w Powstaniu Warszawskim 1944 r.

3. Słowacka rada narodowa jest źródłem władzy państwowej na Słowacji.

4. W ramach wojska czecho-słowackiego będą utworzone pułki słowackie, składające się przeważnie ze Słowaków i ze słowacką komendą. Oficerowie słowacy, jeżeli nie występowały zbyt ostro przeciwko Rosjanom, otrzymują te same etatnie, jakie mieli w republice słowackiej.

5. W urzędach i organach republiki Słowacy będą mieli proporcjonalny udział.

6. Wszystko to będzie Słowakom zabezpieczone w nowej konstytucji, którą uchwalą wybrani przedstawiciele Słowaków i Czechów.

Pełna porażka ideowa Benesza

Benesz w swojej broszurze „Na drodze do zwycięstwa” (Na ceste k vítězství, Londyn, luty 1944) napisał: „Nie będzie sporu o to, czy Słowacy i Cześci są jednym lub dwoma narodami. Pewna grupa ludzi albo jest narodem, albo nie jest. Tego nie można załatwić żadnym publicznym aktem. W tej sprawie zajmujemy stanowisko całkowitej tolerancji i wzajemnego poszanowania tego czy innego punktu widzenia”.

W praktyce tolerancja Benesza wyglądała w ten sposób, że każdy mógł się podać albo za Słowaka, albo za Czecha, albo za Czechosłowaka. On, Benesz pozostaje Czechosłowakiem, „który nigdy się nie sprzeniewierzył testamentowi Kollara i Palackiego o jedności czechosłowackiej” (Benesz: „Mowa do Słowaków”, Praga 1934). Tego samego trzymał się i w Londynie: ani jednym słowem nie chciał przyznać, że Słowacy są narodem samodzielnym i jako taki należą się im wszystkie prawa narodowe.

Ale obecnie przyszła Moskwa. Obecny minister propagandy w rządzie Fierlingera, Wacław Kopecky, w piśmie „Czechosłowackie listy” ostro zaatakował teorię Benesza i napisał: „Głosiciele tej teorii tolerancji (Benesz, Ripka, Slavik i in., — uwaga autora) są najczekiejniejszymi czechosłowackimi. Traktują swoje wygodne stanowisko w sprawie narodowej jak rodzaj tolerancji religijnej. My komuniści zupełnie nie uważamy „tolerancyjnego patentu” ministra spraw wewnętrznych Slavika za czyn państwowy. Myślny doma-

gali się wyraźnego aktu, zasadniczej deklaracji o znaczeniu państwowym”.

Przeciwko „tolerancjnemu patentowi” emigrantów Benesza z Londynu stanęli czescy emigranci z Moskwy i ze zwycięstwa sprytniejszej Moskwy nad Beneszem wynika deklaracja rządu Fierlingera, że „Słowacy są narodem samodzielnym”. Przegrat p. Benesz. Nie może już się podawać za Czechosłowaka. Ale przy tym, nigdy się nie sprzeniewierzył testamentowi Kollara i Palackiego o jedności czechosłowackiej”, albowiem pozostanie on dalej prezydentem państwa przy takim rządzie, który głosi program narodowy zupełnie odmienny od jego programu. Bowiem nie ma zasad w polityce ludzi, których hasłem jest, że „polityka to 90 procent taktyki, a 10 procent zasad”.

Stanisław Słowak

Tylko Słowacy mogą zająć stanowisko wobec oświadczenia nowego rządu, Słowacy od sierpnia do października 1944 prowadzili powstanie na Słowacji i związali 7 niemieckich dywizji. Według informacji niemieckich i rosyjskich 20 tys. Słowaków zginęło w tym powstaniu, państwo słowackie poniosło miliardowe szkody w zniszczonych tunelach, mostach, lokomotywach itd.

Oprócz tego milion Słowaków amerykańskich posiada w Europie i na Pacyfiku ponad 50 tys. oficerów i żołnierzy, którzy walczą i krwawią się w wojsku amerykańskim. Wzmania za zakupienie przez nich pożyczki wojennej za około 20 milionów dol., 12 „statków wojennych” zostało nazwanych imionami 12-tu słowacko-amerykańskich działaczy. Słowacy w Ameryce mają swoje własne samoloty bojowe z napisami „The American Slovak”. Słowacy walczą przeciwko Niemcom u boku Polaków pod własnym sztandarem w powstaniu warszawskim 1944 (fot. obok).

Jak widzimy wkład słowacki do tej wojny u boku sprzymierzonych jest znaczny i w Ameryce i na Słowacji. A co się Słowakom daje za to wszystko?

Daje im się deklaracja, że są „samodzielnym narodem”. Obiecuje się im, że „Słowacy mają być panami na Słowacji”. Taka obietnica nie ma żadnego znaczenia. To samo obiecywał T. G. Masaryk Słowakom w Pittsburgu, ale Słowacy przekonali się w okresie 1918-1938, że na Słowacji każdy był panem, ale nie Słowacy. Przez 20 lat republiki Słowacy nawet nie figurowali w rubryce narodowosłowackiej oficjalnej statystyki, chociaż byli tam uwidocznieni; nawet Cyganie.

Słowacka Rada Narodowa ma być źródłem władzy państwowej. Ktoż jest w tej Radzie? Składa się ona z 28 ateistów i protestantów i tylko z 2-ech katolików. Na Słowacji, gdzie jest 85 procent uświadomionych katolików i narodowców, taki organ nie może mieć żadnej popularności.

Ponadto jest obietnica, że w ramach wojska czecho-słowackiego będą utworzone słowackie pułki; ze słowacką komendą. Ale przecież Słowacy od 1939 do 1944 mieli własne słowackie wojsko, w którym byli tylko Słowacy, którzy przecież mogli w sierpniu 1944 wywołać powstanie przeciwko Niemcom.

To, co się Słowakom daje, nie jest żadną przeciwwagą wkładu, który Słowacy na Słowacji i w Ameryce włożyli w tę wojnę po stronie sprzymierzonych. I nawet porównać tego nie można z dorobkiem Słowaków w ich własnym państwie słowackim. Jedynym ich grzechem było tylko to, że maleńka liczba Słowaków w marcu 1939 pojecha z Hitlerem. Ale trzeba stwierdzić, że w marcu 1939 Hitler miał w Paryżu, w Londynie, Rzymie i Moskwie, a do ostatniej chwili i w Pradze o wiele więcej i o wiele większych zwolenników aniżeli ich było w katolickiej Słowacji. Kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamieniem na Słowaków. Ale czy to prawo mają Cześci?

Rząd Fierlingera złożył obecnie oficjalnie oświadczenie z pięknie wystylizowanym „słowackim” programem. Wyobraża sobie, że nieposiadający się z radością z oswobodzenia od własnego państwa Słowacy masowo pójdą za Beneszem i Fierlingerem. Wtęki zawód czeka komunistów i Czechów na Słowacji: nie znajdą uświadomionego narodu Słowaka, któryby taki program przyjął dozwolnie.

Zachody a wschody słońca masydowały z sobą na horyzoncie. Brzask zachodu, przez wiele godzin przykryty nocą, przedierał się znów i tym samym złoto-zielonym mżemieniem rozświetlał brzeg nieba jako wschód.

Były to dwa krótkie momenty, zamykające czas mojej nocnej służby w kazańskim łagrze, w Burnie. Zanim jeszcze zupełnie zmierzchno, dopomagałam przyrodzie, wzniciając kłęby kurzu kilku-prętową miodą. Wtedy nad wielkim dziedziem unosił się już wysoki, gęsty i krztusiący smrok. Po sześciokrotnej wyprawie do stawu (6 razy po 1500 kroków), gdzie nabierałam za każdym razem wiadro wody dla sześciu drzewek powiędłych od upału dnia — zastawałam już prawie noc na ziemi. Na niebie trwał jednak jeszcze turkusowy blask jako tło dla oficera z „kantoru” i dla inżynierki Nataszy. Odbywał się właśnie ceremonialny pięcioletni zamków i kłódek u drzwi dwóch pomieszczeń składu truć. Składow tych ich zawartości strzegłam noc w noc.

Kiedy oficera schodził na dół do „łozku”, aby wciągnąć pięćdziesiąt w gorącą smolę, zawsze przypomniałam sobie to samo: — Przygarbioną postać gumienego z latarnią zawieszoną na guziku kurtki i wesołego chłopaka, wywijającego blaszaną baniek. W porze turkusowego zmierzchu, który nie sięgał już grządek petruszki, a postacie idących wyrzucał z siebie jako czarne sylwetki — szli do łozku po nafię, po „kanfinę”, jak się to w moich stronach mówiło. Wyczerpanie fizyczne odbierało mi zdolność do uroczającego odzwierciedlenia treści uzbieranej przez wszystkie lata mojego życia. Dlatego, zapewne, siedząc na ławce pod ścianą składu truć, patrzyłam na światłość, która gdzieś w dole tliły się jeszcze do oznaczonej godziny w oknach baraków — jak na wieś, zamieszkałą przez ludzi, dobrze mi kiedyś znanych. I dlatego też niebo pełne gwiazd było niebem Wojciecha z „Pana Tadeusza”.

Wyobraźnia ubożała od tych ułudach, po czym już zamazującymi się konturami gasła i pustoszała w niedoświadczonym drzemaniu. Ocknienie przychodziło z nagłą wywołane jakby uderzeniem pięści albo ułkaniem szpilki. Trzeba było utrzymać się w granicach rzeczywistości, trwając w niej przystojnie i gniewnie.

Noc, która pięknie nie zawniła ludzi, kiej krzywdzie, spełniała swoje czarne według nakazanego programu. Gwiazdy, mocno osadzone na niebie, przelatywały się wraz z nim w miarę posuwającego się czasu. I te, które tworzą rysunek grup, i te trwające samotnie, i te drobnie jak się w miarę. Niektóre opalowe w rozmarzaniu, inne miedziane lub moryszone, zastępywały punkty i kulki. Nie widziałam ich promienności na wysokim, szklistym niebie. Niemniej widziałam, jak błady, gdy księżyc zamarzał swoim światłem niebo i ziemię.

Księżyc, nieodparty, straszliwy, pojawiał się za zarysem „sopków”, przesuwając za każdym razem miejsce swoich wschodów. Wylaniał się prawie zmienacka, czerwony i ogromny, bez względu na to, czy pełnia, czy też tylko ćwiartka, rogami, sierpem wychodził na niebo. Tracąc czerwony, choćby był tylko rąbkami, rozjaśniał ziemię, odsłaniając daleko obszar stepu aż do jego zetknięcia się z ciemną ścianą północy. Tu bliżej ściany domku, w którym spała inżynierka Natasza, i ściany składu truć rzucały cień, wyglądający nierównością dziedzińca.

Na stepie przychylał konie, w głębi łagru łomotał jakieś młyn, młynek czy motor. Za łagrem gasły i znów zapalały się latarnie wzdłuż toru kolejowego. O godzinie jedenaście przebiegł ciemny pociąg. Księżyc na chwilę srebrzył smugę dymu, w sopkach podwajał się echem stukot białków, a gwizd parowozu brzmiał już gdzieś dalej zwłajającym oddechem przy stacji.

Głosy i wdma nocy obchożdy się długo bez ludzi. Nie było ich w mojej wyobraźni i świat zdawał się ich nie potrzebować. Sopki, zachowujące swój niekiedy falisty rysunek, górowały nad dachami baraków. Niektóre wielkie sady, leące nisko, miękkimi skrzydłami, przesłaniały na moment księżyc. Nietopere natomiast trzępotały w popłoch mojej powieki. Czasem też komar szczególnie natarczywy, nie przegnany chłodnym światłem księżycowym, brzącał zjadliwie przy uchu. Zdarzały się wtedy omyłki słuchowe, bo trudno było odróżnić brzęczenie komara od grania motoru samochodów, które od czasu do czasu biegły po niewidocznej ścieżce. Muzyka motoru rozdrabniała wilki stepo-

we, krzające kóło pasących się koni. Wycieczkanie rozdierało wtedy noc, która na pewien czas stawała się piekłem pełnym żałobnej wściekłości. Pastuchy — więźniowie z łagru — podnosząc wrzawę, wprowadzali wrzeszczące głosy ludzkie na scenę nocy. Ale były to głosy podobne do wilczych, tym tylko się różniące, że brzmiały w nich ponadto strach. Konie w przerażeniu uciekając ze stepu, pędziły przez dziedzińce składu truć, aby moje „stróżowskie” noce upiększyć balladowym widowiskiem. Bywało jednak, że przerażenie nadchodziło z daleka, z przestrzeni nieobjętych nawet domysłem. Łagodząc przeczuca, ustalałam byle jakie miejsce. Mówiłam: „To za „zoną”. Palba karabinów okłaskiwała rozrzucone jakąś scenę, którą odgrywał samotny człowiek. Gdzieś tam biegł, przykucał, pełzał. Zdradzony światłem księżycowym, odpychał swój własny cień, kłusując po stepie. Jeżeli jeszcze nie padł przygwoździł kuli, jeżeli, jeszcze biegł — wciągał go w siebie step pustką nie obliczoną na dnie nocy. Ale karabin podjęty koncentrycznymi ogniami ze wszystkich posterunków łagru. Wtedy człowiek stał już tam bezradny, w oczekiwaniu niezawodnej wolności. Konającego dopadła kolba, dysząca nad nim plugawo słowo, wysuszona ziemia smakowała



Rys. Stanisław Wastwalewicz

wała słono na wargach. Step uciekał w swoją nieskończoność, przeganiając się ze sklepieniem nieba. A niebo pozostawało przecież nade mną i miało płynność głębokich, ciemnozielonych wód. Po tym, co się tam gdzieś dokonało, zostawał tylko lek przestrzeni. Step — step...

Innym razem, gdy księżyc schodził z nieba, na drodze, mijającej składy truć, skrzypiały karawany wozów, zaprzężonych w woły. Toczyły się więc wolno i długo, zanim dotarły do magazynu po jarzynę, przeznaczone dla stołówek NKWD i ładowane w Karagandze do Moskwy dla Kremlu. Odbywało się to zawsze w głębokiej ciemności i tajemnie, jakby w ukryciu przed nieprzyjacielem. Ale Kazańcy, nie zważając na surowe zakazy, śpiewali w rytm włokącej się karawany swoje płaczliwe: aiajaj. Może to były modlitwy, może baśnie, a może tylko skargi, które pręży ciemność nieprzychylną ludziom. Sluchając tych zawodzeń, nie doznawałam jednak uczuciowych refleksji, gdyż zapadałam w długie, niezmienne majaczenia głodowe. Jarzyny — marchew, cebula, ogórki, kapusta, buraki, kartofle — surowe, soczyste, ich chrząst między zębami, słodczy na podniebieniu, ostrych ich zapachu, ich męczące wciągająca się w przelęk... Ostałoby z głodowania żołądek spełniał urojoną pracę aż do omalatego zmęczenia. Papierosy, skrócone z papieru gazetowego i z szczyptki suszonych kwiatów, szczypały w język i wysuszał ślinę, nie dając nikotynowych omamień.

Nie już nie było omamieniem w takich chwilach. Głód, niedoświadczenie ścinało ciało drętowało i łachmanyły duszę. Chwiejąc się na nogach, usiłowałam chodzeniem zwalczyć bezdusze. Musiałam jednak przystanąć na jakimś miejscu dziedzińca, które mogło być tak samo środkiem kuli ziemskiej. Stałam pod zenitem nieba, wpełchnęta w noc. Raz w takim momencie poglaskałam mnie Bóg błyskawicą, otrzeźwił piorunem i pokarał nawałnicą deszczową. Od tej chwili zaczęłam się modlić bardziej żarliwie.

Odciekawszy „hudok” — wieczorny sygnalizator, dający znak do gaszenia światła w barakach, zaczynałam modlitwy. By-

HERMINIA NAGLEROWA

KAZACHSTA

ły różne — i te prawidłowe, nauczone, i własne układane ze słów pokornych i pysznych, prostych i patetycznych. Do modlitw dołączałam potem wiersze, wydobywane z zastępowej pamięci. Te świeckie strofy i rymy ofiarowywałam również Bogu. Spokojniałam, nabierając jakby pewności życia, mimo, że słowa wierszy dotyczyły śmierci. Tej samej nocy Hafie i Aminu umarły. Leżąc na łożu przy sobie... „Zbrodnia to nieistotna, Pani zabka pana...” Cierpienie i grzech, „wierszowych” ludzi oddawałam boskiemu miłosierdziu tak samo, jak swoje własne cierpienia i grzechy.

Ale tu blisko był człowiek, istota nierzeczna — inżynierka Natasza. Mieszkała w swojej izdebce, w niejśmym wyróżnieniu. Za to, że umiała truć paszożyty na roślinach i odkażać stepową pszenicę, zaszwała tego szczęścia samotności. Legowośm na stołach, stoł, skrzynia i własna kopce-

„towarzyskie”, nie zmieniające jednak wzajemnej nieufności. Natasza była komunistką, osadzoną, jak tyłu innych, w łagrze za jakieś niepójnięte dla mnie odchylenia czy też kacerstwa klewne. Pozbawiono ją wolności „za meża”, który również czymś zawinił przeciw dogmatom i reżimowi.

W systemie łagrowym, choć wszystko odbywało się na jednakowej płaszczyźnie nadmiernej pracy, głodu i sponiewierania, istniały jednak różnice i hierarchie. Totę inżynierka Natasza okazywała mi swoją łaskawość słowem i gestem właściwym osobom wyżej postawionym. A może tak właśnie — powściągliwie i oficjalnie — objawiał się jej beznadziejny smutek po niespełnionych zamiarach nauki i pracy, po zawiedzionych uczuciach i zgłoszonych ogniskach osobistego życia.

Obserwowałam ją z oddalenia. Wszedła w bezładnie moich nocy, abym znówu chwyciła się w spostrzegawczości, w wysnuwaniu wniosków, w wiązaniu akcji. Jednocześnie jednak wyzawałam się z egotyzmu, tak bardzo dokułowego w tamtych warunkach. Ciągłe przecież usiłuje człowiek pozbawiony wolności docierać do swojej istoty, aby być jej na ratunek przed zagubieniem. Wspominając przeszłość, przeciwstawiając się teraźniejszości, w rozważeniu czy w operze, odbywa się ta zapobiegawcza praca, przy jednoczesnym zdawaniu sobie sprawy z utraty sił fizycznych i zasobów duchowych. Tak umiera człowiek chory na raka albo na rozpadającą gruźlicę, tak właśnie, jak koma powoli, uporczywie walczyć o swoje przebrzmiałe „ja” — słowem i głosem.

Natasza załadniała mój nocny, księżycowy, gwiazdny albo zaciemniony świat nie tylko sobą. Odwiedzała ją niekiedy znajomi, których także usiłowałam rozpoznać ze słowalnych oznak życia. W skojarzeniach zdumaczyli się wyrażeniami, a nabierając znajomości mi cech ludzkich, budzili współczucie. Nie wiedząc o tym, stali się moją troską i niepokojem.

Odczuwałam to zwłaszcza wtedy, gdy przychodziła Szura. Nie przychodziła, tylko przemykała się o zmierzchu. Jej biały fartuch — była bowiem pomocnicą inżynierki, więc czyniła w rodzaju laborantki — wypływał niespodziewanie ze stepu. Siemając szła, unikając spotkania z „strielkami”. Natasza rygiowała wtedy drzwi od wewnątrz i po długich minutach a nawet kwadransach ciszy, domek zaczynał jakby dźwięc od wzburzonej, rytmicznych słów. To deklamowała Szura. Czasem mogłam uchwytnie dobiegające do siebie rymy, czasem krzyknęte słowo protestem albo rwało się płaczem, aby potem powoli i długo zamierać, jak człowiek umęczony torturą. Bywały jednak i zwrotki pełne czułości, młodości, kapryśności, kolorowe.

Natasza powiedziała mi, że Szura była na wolności aktorką. Mówiąc to, jakby usprawiedliwiała przyjaźnię, która ciągle

lampa w izdebce-komorze, przesiąkniętej zapachem owych jadownych chemikaliów, określały pozycję inżynierki. Jako mieszkanca „baraku 100”, gdzie natłok ludzki, pluskwy, wszy, pchły i muchy, gdzie smród powietrza, rozmów i łagiernego obyczaju truiły gorzej wszystkich jądów — wchodziłam do izdekki Nataszy jak do zacisznej kapliczki.

Natasza była jeszcze młoda i miła wzrokiem. Miała okrągłą, przepaloną od słońca twarz, niebieskie oczy o zaczerwienionych białkach, włosy pszennego koloru, splecione w warkocze ułożone obficie o wokół głowy, która przez to robiła wrażenie zbyt dużej. Żyjąc w nieco lepszych warunkach, zachowała czerność jakby wieńczącą. Jej powściągliwość odnosiła się najwyraźniej do mojej obojętnej narowidej. Opowiadaliśmy sobie krótko, kim jesteśmy i za co tu jesteśmy. Takie obowiązywały zwyczaje

DOKUMENT

„Dzieje rodziny Korzeniewskich” Wankowicza *) są po „Wspomnieniach Starobelskich” następną relacją z okresu okupacji sowieckiej Polski, nowym snopem światła rzuconym tym razem na losy polskich wysiedleńców (byłoby lepiej powiedzieć: zesłańców) w Rosji, w latach 1939-1941. Jest to książeczka interesująca nawet i dla nas, którzyśmy za kratami więzień i drutami obozów pracy spędzili w „ślochu stałniskoj konstytucyj” dwa długie jak wieczność lata głodu, chłodu i utraty wiary we wszystko co ludzkie. Wem teraz napewno, że życie tych biednych istot było nierządno postokroć cięższe od zorganizowanego procesu powolnego umierania w obozach i więzieniach. Brzmi to jak paradoks, ale w olbrzymiej Rosji człowiek czuje się pewnie, gdy wypędzany o świecie do lasu walcza przed nadziarnymi nocy za druty ochroną, chciałoby się nieomalże po-

wiedzieć, osłona „strelkowych sztyków”. Zawsze cieszyła mnie świadomość, że przed wpuśzczeniem w obręb obozu senny „wachtor” z kawałkiem dyktu zamiast papieru obliczy stan każdej nowoprzybyłej brygady robotczej. Głupie uczucie, w kraju, gdzie śmierć człowieka wywołuje obojętne ziewnięcie, dobrze jest wiedzieć, że „akt zejścia” zapisany zostanie chociażby na skrawku drzewa. Tymczasem w promieniu setek kilometrów „wolno dochyl” (jak głosi popularna parafraza narodowej piosenki sowieckiej) maszy ludzi, którym na nieść częścię pozostawiono „swobodę osobistą”, a więc cały drepający ciężar okrutnej troski o najbliższych: często słabych, często do starych, jeszcze częściej za młodych. W nocy, na przyczach, wśród oparów brudu i potu budzi się czasem wyndziński łachmaniarz i w radosnym podnieceniu uszeptali na to do siebie, ni to do innych: Dzieki Ci Bóg, że nie widać jak umierają moi... W połowie 1941 roku zaczęli do obozów napływać pierwsi wysiedleńcy. Popielniali drobne przestępstwa, żeby utrzić „wolność”. Na pytania jak mógł porzucić żony,

*) Melchior Wankowicz: Dzieje rodziny Korzeniewskich, „Biblioteka Orła Białego”, Włochy 1945.

ŃSKIE NOCE

jeszcze nie chciała zapomnieć o tym, co przeżyła. Kilka razy widziała Szurę niemal za widnia, miała cieżką urodę, ale jej zgrubiała cera była chropawa i cynobrowego koloru, jakby natarta cegłą. Była drobna i tak chuda, że białe fartuchy zdawały się mieścić w sobie tylko rozwidłora na gąłtę. Tym dziwniejsze było więc jej zbyt wielkie ręce jakby rozpięzione pod kowalskim młotem.

Po deklamatorskich wzbuchach, wypadała Szura z domku Natasy — wcale nie uspokojona. Płacząc, prawie krzycząc, wołała „dobranoc!” i można ją było widzieć jeszcze przez jakiś czas fruwającą jak biała cma nad suchym, kszyczącym posrebrzonymi ładnymi stepu.

Zostawał po niej niepokój. Po jej odowiedziach, Natasa długo w noc stała na progu domku i mówiła zdawkowo: „piękna noc”, albo „duszo w izbie”, patrzyła jak przewijał bandażem rany od cyngi na nogach, jak z płócienną torbą wybieram stwardniałe kruszynki po dziennej porcji chleba i skapo je sobie wdzierałam, żeby starczyły na całą noc. Nie miałymy sobie nie do powiedzenia i tak przecież wiedząc, jak z nami jest. Milczenie nasze przebiegało dzieląc nas dwu, trzymetrową przestrzeń, jak niki na motku trzymanym w obu rękach. Ktoś — tak mi się zdawało wtedy — zwijał z tych nitk kłębek, nie — kłęb tak już wielki, jak piłka nożna. Ktoś też piłkę podbił nogą. Podbił ją tak wysoko, aż zawisała kłępiąc na niebie.

Tak myślałam, również pełna niepokoju, zdziwała w milczeniu i nie zdolna już do kontrolowania przywidzeń. Natasa mówiła rzeczowo: „Trzeba wam witamin, bo macie cyngie”. Odcychając, przypomniała tak samo rzeczowo, żeby ją zbudzić rano, jak zatrąbił „hudok”. Zostawałam, znowu sama wobec wyściskającej się nocy. I znowu wracałam do przywidzeń, które trzeba było teraz przysmuszać, aby zjawiły się z powrotem.

Nie wystarczało bowiem samo pragnienie, więc niejako wewnętrznie wytwarzanie kształtów i barw. Musiało się pomagać mrużeniem powiek, naciskaniem skroni, nawet powstrzymywaniem oddechu. Wtedy dopiero ukazywał się obraz, zawsze tensam. Za soplemi, właściwie nad nimi — luna, a na niej zarzys miasta, wieże kościołów, drapacze chmur, kominy fabryczne, zygakowała linia dachów. Miasto było czarne na tym czerwonym tle. Na nieco bliższym planie jawiły się słupy telegraficzne połączone drutami. Na drutach siedziały jaskółki. To wszystko.

Zapatrzona w to dalekie miasto, posiadłam w kście już wszystko to, co mogłam wydobyć z nicości. Ani nie pragnęłam być w tym mieście, ani wiedzieć, co to za miasto. Dziwny mnie tylko jaskółki. Skąd są to mogły wziąć, kiedy nawet wrobiły było nie wiele w tej Burnie. Ptaki unikają głodnych ludzi, a może głodni ludzie wypęliły ptaki, nie nasyćczyły się nimi. Wystarczyło jednak zdziwić się tym

jaskółkom, żeby nagle po łunie nad miastem zaczęły lecieć stada ptaków. Leciły tak, płynęły, kłębiły się w drobniutkim rozkruszeniu niby roje komarów. Ten ruch ptasi stawał się wreszcie monotonny jak sen. Niewątpliwie też był zasypianiem.

Budziłam się jakby ostrzeżona. W istocie — z daleka od magazynu jarzyn, od stajen, od garażu odzywały się w przerwach głosy innych stróżów nocnych: „Kto idiot!” i głuche odpowiedzi: „Swoji!” — To sła „prowierka”, rent, inspekcja nocna. Czy stróż stróżują, czy nie posnęli? Słychać było pomruk krótkiej rozmowy, albo podnoszony głos nagany i zapowiedź kary. Czeakałam już na skraju dziedzińca, ubrzoną w słowa: „Kto idiot!” Jeden albo dwa cie-

wieczora, po pracy i zostawiał na żwirze ślad zakosy kulawej nogi. Nie zastawia Natasy, siaład obok mnie na ławeczce i niby trochę rozmawialiśmy z sobą. Iwan Kirylycz mówił po francusku i po niemiecku, ścisząc głos do szeptu. Odbysław swoją karę już szósty rok i cały stał się jakby szarym szepcaniem. Jego pociągła, zapadła twarz inteligenta była także szara. A w płucach miał szarą flegmę nieco tylko zabarwioną żółtymi krewi.

Nasze rozmowy nie były osobiste. Ale raz, patrząc siebie na zachodzące słońce, na tę rozlewającą się skrajem ziemi czerwioną lawę — wyznałam mu, że modię się. Uśmiechnął się dziwnie i zapytał: „Na co się to zda?”. Spieraliśmy się o te sprawy zapalczywie, po studencku. Inżynier trzymał w rękach bukiet stepowych kwiatów, bo zawsze przychodził do Natasy z bukietem. Na kołnierzu jego warty marynarki chodząca fuza, duża, majestatyczna. Paliliśmy papierosy z suszonego ziela i dociekaliśmy prawdy bytu. Nie chcieliśmy siebie wzajem przekonać, ale każdy z nas rozumiał swoje tak niezbie-

ran”, który dął na mnie. Zwracając po two- rzy, po ranach cyngi. Pęd wiatru uderzał twardo, jak taran. Na dziedzińcu składow trucin okrywał się wichem. Miał tu wysoką postać secesyjnej damy. Zaplątałam się w rozwiany tren jej sukni i nie mogłam ruszyć z miejsca. Nagle „buran” opadł i jakby zgasł.

Noc jednak była burzliwa. Błyskawice szczyrzyły się na widnokręgu, albo rakieta- mi spadały po łuku nieba. Gromy zbli- żały się niebezpiecznie, to znowu burzały gdzieś za soplemi. Niekiedy chmury odsłania- ły słońce kształt na częściowo oczyszczonym niebie. Zato ulewa spływała z jedno- stajnej już czerni, puszczając i szumiąc. Stałam pod okapem, który był żudną osłoną. Jak zwykle przebiegł pociąg, jak zwykle turkotał młyn czy motor. Z dachu stoczył się, jak gradka błota, zabity przez ulewę nietoperz.

Kiedy burza ustała, wilgotna ciemność przysygnęła się do mnie tak ciasno, że musiałam dalej trwać nieruchomo pod okapem. Wreszcie zdecydowałam się odsukać ławeczkę. Zgarnęłam z niej wodę i zdawa- ło mi się, że siedząc odpoczywam po ogromnym trudzie. Po trudzie, który jednak zmogłam. Ciszę dzielił plusk spadają- ących z dachu kropli. Należało teraz porządkować mój nocny świat. Najpierw strony tego świata, potem miejsca w nim oznaczone: garaż na prawo, nieco z lewa magazyn jarzyn, obory i stajnie na wprost, za barakami. W porządku. Potem ludzie: Natasa śpi w swojej izdebce. Dobrze spya się w czasie burzy. Iwan Kiry- lycz zapewne nie rwał dziś kwiatów na stepie. Leży na narach w baraku, wypława flegmę, pali śmierzdzące papierosy. Szura — domierza wiersze do wiatru, do piorunów. Wtórzątnął mniś śmiech czy deszcz, bo ubranie moje przemokło. Ale naprawdę śmiałam się z Szury, która deklamowała tylko wtedy, kiedy była głodna.

Rozwiesiliśmy się tym, jak żartem dobrze utrafiłym. Śmiałam się półgłosem, chcąc słyszeć jak brzmie wesołość. Nagle usłysza- łam już nie mój śmiech, ale krótkie tepe strzały rewolwerowe. Po kolei — sześć. Biły po czymś krzyku krówi. Kiedy ustały, rozcęgnął się długi jęk kobiety. Potem w odstępach powtórzył się kilkakrotnie i za- milki. Wszystko to działo się gdzieś około magazynu jarzyn. Porwałam się z ławeczki. Zawahałam się, czy zbudzić Natasę, czy zawiadomić ją. Zrobiłam to jednak.

Kiedy powiedziałam Natasy o strzelach i krzyku kobiety, nie uniosła nawet głowy. Leżała dalej pod cienkiem, popielatym kocem, malutka w skuleni. Zapłatała sennie: „Gdzie tak strzelali?” Zdało się, że jej to nie obchodzi, czy strzelanina była albo magazynu, na ogrodzie, za „zoną”, albo gdziekolwiek. Zbudziłam tylko tyle, że zaczęła drzeć. Wiedząc o tym, wparła się polickim mocniej w siennicko-poduszkę, wutliła usta w powózkę i zamknęła oczy jakby znowu zapadła w sen. I jak przez sen zaczęła bełkotać: „Wydzicham... zameczą... zabiją... nie ludzie...”

Noc była czarna, pachnąca wodą i zie- mią. Ale świt wzbierał różowy i staw za- łaśnł w dole jak muszla. Jak zawsze o świcie dzwoniły zęby i deszcz marszczył skórę. Trebacz ogłosił dzień roboczy wraz ze słońcem, które zaczęło promienić za soplemi.

Wracając do baraku, stawałam sztywno stopy zdrętwiałe po nocy. Omijałam kału- że i witałam się z matym kundlem o kap- rawych oczkach. Jego sierść zjeżona od strupów miała zielono-szarą barwę, pod- chodzącą pod kolor błota. Zawsze biegł za mną kawałek drogi. Dnia tego, towarzys- zając mi dłużej, niespodziewanie zaszekał. Nigdy dotąd nie słyszałam jego głosu, który tak nagle i jaskrawo rozległ się i prze- ciągnął ujadaniem jakby mi coś sygnali- zował. Prawie go pojął, ale nie zaraz popatrzył w tamtą stronę. Dopiero, gdy piesek, bardziej niż zwykle zjeżony, tam pobiegł, eporowałam nieznacznie. Magazyn jarzyn stał w środku warzywnego ogrodu, wśród młodych, nierodnych jeszcze drze- wek owocowych. Jego gliniany dach był wygładzony i blyszczący po nocnej ulewie.

Patrzyłam, nie zatrzymując się, gdyż tak nakazywał lagrowy przepis. Byli tam ludzie na ogrodzie. Czapki strielbók znaczyły się barwami. Kątami oczu dostrzegłam, że ci ludzie coś podnoszą z ziemi, że ustawiają się, że wreszcie ruszają z miejsca. Między szarymi postaciami noszącymi, zabielało to, co niebiś. Przekręciłam się o tym już wczoraj w nocy, wiedziałam o tym już dawniej, już od tamtej chwili, kiedy pierw- szy raz zobaczyłam Szurę w białym far- tuchu!

Herminia Naglerowa

DROGA DO ROSJI

(Fragment)

Kraina pusta, biała i otwarta,
Jak zgotowana do pisania karta...
Czyż na niej pisać będzie palec boski,
I ludzi dobrych użyżysz za głoski,
Czyliż tu skreśli prawdę świętej wiary,
Ze miłość rządzi plemieniem człowiekiem,
Ze trofeami świata są: ofiary?
Czyliż też Boga, nieprzyjacieli stary
Przyjdzie, i w księdze tej wyryje mieczem,
Ze ród człowieczy ma być w więzy kuty
Ze trofeami ludzkości są: knuty?...
Po polach białych, pustych, wiatr szaleje,
Bryły zamieci odrywa i cisną;
Lecz morze śniegów, wzdęte, nie czernieje,
Wyzwane wichrem, powstaje z łożyska,
I znowu nagle jakby skamieniałe,
Pada ogromne, jednostajne, białe,
Czasem ogromny huragan wyłata
Prosto z biegunów; niewstrzymany w biegu,
Aż do Euxinu równie zamiata,
Po całej drodze miecąc chmury śniegu;
Często podróżne kłótki zakopie,
Jak Symum błędnych Libów przy Kanopie.
Powierzchnie białych, jednostajnych śniegów,
Gdzie niegdzie ślany czerniawie przebodny.
I sterczą nakształt wyspu i łąd przebodny:
To są północne świerki, sosny, jodły.

Adam Mickiewicz

nie schodziły z drogi i mówiąc „swoji”, szły do zamków i kłódek aby zbadać pieczęcie.

Kedy przychodził tylko jeden wysoki cień, było zawsze jeszcze dodatkowe py- tanie: „Inżynierka kpi?” — Odpowiadałam: „Sp!”. Cień wchodził do domku i przez okamienne tłumy się w izdebce. Poczem wypadał gniwny, kłac, spluwając, krzy- cząc w moją stronę: „A ty nie śpis, pilnuj jak pies majątku sowieckiej wsiaci!” Po chwili wychodziła na próg Natasa w ku- sej kuszulinie i to już musiała powiedzieć „obcej”, to już musiała wyjaśnić: „Nie wolno zamykać drzwi od środka, taki na- kaz w łagrach”. A potem niemal czule: „A wy nie spali, jak przyszedzi?”

Nie wiem, czy o tych nocnych wizytach opowiadała potem Natasa inżynierowi Iwanowi Kirylyczowi. Ten przychodził z

że już tylko precyzował końcówce tezy. Wreszcie twarz Iwana Kirylycza rozjaśni- ła się eskazą. Z daleka zobaczył nacho- dzącą Natasę. Nie była jednak sama — obok niej frwiał biały fartuch Szury.

Przez uchylone drzwi dołatywała mnie rozmowa niegłośna i stateczna. Napływał też ostry zapach cebuli i rzodkwi. Do tego właśnie był potrzebny szeroki fartuch Szury — domyślałam się. Jedli tam śpiesznie, zanim zapadnie noc. Jedli ukradkiem kra- dzione z ogrodu jarzyny. Kiedy skończyli, najpierw wymknęła się Szura, uspokojona tym razem. Dźwięcznym głosem „akrissy” powiedziała mi „dobranoc”. Jej spękane wargi były zwilżone. Po nie długim czasie pokuszylał dziedzińcem Iwan Kiry- lycz. Natasa wynosiła oberki, żeby je za- kopać w ziemi. Spełniała te czynności róż- woznie. Przedeptała starannie ziemię, jak zbiorcznik, który zakopuje swoją ofiarę i zaciera ślady. Przechodziła obok mnie, nie patrząc w moją stronę.

Gdy noc już zupełnie ściemniała, Nata- sza niespodzianie wyszła do mnie. Po ciem- ku dotknęła mojej ręki swoją ciepłą ręką, a potem poczulam chłód jakichś przed- miotów. Wzdrygnęłam się, zanim rozpozna- łam ich kształt. Pierwej jeszcze ujawniły się zapachem jarzyn i ziemi. Natasa po- dzięta: „poprawiajś” — i jeszcze dodała przestrożę, żeby nikt nie zobaczył, bo nie wolno, bo wielka za to kara.

Nadgrzyłam ogórek. Ale nawet zęby nie miały do niego ochoty. Wydawał się w ustach kawałkiem korka, którego przełyk nie chciał już zupełnie przepuścić. Kiedyś w dziedzińście podpatrzyłam żebraka, który siedząc pod drzwiami kuchni, żuł leno- wo jakieś wyniesione mu jadlo. Przelykał je, dławiając się. Reszki rzucił do worka. Po- myślałam wtedy, że nie jest znowu tak bar- dzo głodny, skoro nie zjadł wszystkiego. Teraz i ja wiozłam reszki do mojego pło- cennego worka. Tak samo.

Któregoś dnia pod wieczór zerwał się „buran”. Ruda od piasku wichura szła wy- sokimi falami, kagernicy z krzykiem trwo- ży uciekali do baraków, ale kto miał nocną służbę musiał o oznaczonej porze iść na stanawisko. Przedzierała się przez „bu-

LITERACKI

matki, dzieci odpowiadali w kółko, z od- cieniem objędu w oczach: Nie chciałam na to patrzeć. Tych ludzi, których kiedyś su- rowo osądzam, rozumem teraz dobrze po przeczytaniu opowieści Wałkowicza.

Napisałem w nagłówek tej noty: dokum- ent literacki. „Dzieje rodziny Korzeniew- skich” odzwierciedla człowieka, który w czasie tej wojny w Rosji nie był Ale — widać to odrazu — wysłuchaj opowiadania Hanka Korzeniewskiej z tą wewnętrzną czułością pisarza, która pozwala zrozumieć każde naznity ostrożne słowo, każde urwane zda- nie, każdy wstydliwy ruch ręki, przelotny grymas twarzy — jeśli się chce uczest- niczyć ex post. Wałkowicz opo- wiedział w swojej książeczce tylko tyle, ile mogłaby opowiedzieć także i Hanka Korze- niewska, gdyby była pisarką. Wziął ją cu- dem utartąwaną dziewczynę delikatnie za rękę i pokazał jej samą tw. co przeczyła i wycierpiała. Wyścę: tam gdzie zbrakło mi- łosć na ukazanie całego ogromu rozpacz- i męstwa pierwszej dziewczęcej miłości zduszonej brutalnie przez nędzę i niewolę, postąpił najuczciwiej: przytoczył własny

piętnik Oli, strzępy przeżyć, które wstrząsają silniej niż niejedna powieściowa kreacja. Mogli to naprawdę zrobić tylko pisar, który jak Wałkowicz potrafi słuchać, widzieć i czuć to, co usłyszał. Gdyż jeśli pisarze w tej wojnie odwracają się od fikcji, lub nabyt drobiazgowy ana- lizy rzeczywistości, to czynią tak powode- niami szlachetnym pocięciem ogarnięcia pragnieniem natychmiastowego i bardziej niezawodnego posłowania prawdzie. Nie chcą poznać człowieka, ale obowiąz- zek obrony zagrożonej osobowości ludzkiej ośnienia powstanie i rozwój tego „użytecznego” typu pisarstwa. O dziejach rodziny Korzeniewskich można by zapewne napisać kiedyś piękną i dużą powieść. Czuje sumienie pisarza także jednak już teraz, naprędce rzucił światu nieobochy- jeszcze z krwi, potu i łez dokument w chwili, gdy na nowo czerwone pocięgi uwoła na wygnaczkę Północ oszczędzone przez 5 lat wojny tysiące rodzin Korze- niewskich.

Gustaw Herling-Grudziński

PRZEGLĄD PRASY

To jest coś więcej niż mówienie

Bratni nasz organ „Defilada”, tygodnik żołnierzy 1 Dywizji Pancerniej tak umiunie stanowisko wspólne działającym z nami noszącym mundur Polakom.

Premier Arciszewski, zaprzany podczas konferencji prasowej przez jednego z dziennikarzy angielskich:

„Czy pański rząd ma zamiar robić cokolwiek poza siedzeniem w Londynie i mówieniem?”, odpowiedział:

„Pod rozkazami tego rządu są poważne siły walczące na ziemi, morzu i w powietrzu. To jest coś więcej niż mówienie”.

Te słowa jasno przypominają nam naszą rolę jako żołnierzy Rzeczypospolitej. Fakt, że jesteśmy zorganizowaną armią, ma zasadnicze znaczenie dla sprawy polskiej. Nie wolno nam ani na chwilę o tym zapominać. Polska powierzyła nam dużą odpowiedzialność — powierzyła ją każdemu z nas. Nie wolno więc żadnemu z nas zrobić nic, czego mogło osłabić spójność i siłę wojska ani też nic, co mogło utrudnić działalność rządu. Każdy z nas musi: trzymać samego siebie mocno w ryzach, nie pozwalając sobie na żadne osobiste wysłapienia jak wyładowania uczuć. My jesteśmy jednym z głównych argumentów sprawy polskiej i w naszej zawartości, dojrzałości i w oparowaniu leży siła tego argumentu.

Jest chwila na zaimponowanie naszym

sojusznikom dwiema rzeczami równocześnie: dojrzałością i nieustępliwością.

Przeciw metodom świętego przymierza

Za „Dziennikiem Polskim” cytujemy „Daily Herald” z 3.1V.45, atakujący światową dyktaturę „wielkiej trójki”. Angielski dziennik socjalistyczny hołduje metodzie „badania przyczyn zła u jego źródła”.

Nie w obecnym zwrotnym momencie nie byłoby łatwiejsze lub lekkomyślniejsze niż gwałtowny spór w sprawie ostatnio ujawnionych postawach dyplomatycznych.

Kwestia właściwej interpretacji decyzji deklaracji Jalt w sprawie Polski, rozsądkiem i brak rozsądku w przynajmniej trzech głosów w zgromadzeniu światowym Republikom Sowieckim i Stanom Zjednoczonym — są to sprawy nadające się pod zimną rozważkę. Istnieje jednak coś nawet bardziej jeszcze ważnego niż te najbliższe sprawy: metoda załatwiania ważnych kwestii politycznych drogą rzadkich spotkań wielkiej trójki okazała się błędem. Była to metoda nieunikniona być może w czasie wojny. Jest ona jednak nieodpowiednia dla załatwiania skomplikowanych problemów pokoju.

Te tajne spotkania, pilnie chronione przed wszelkim rozgłosem, są szczytami odpychającym z punktu widzenia zasad

demokracji. Pachną one metodami dyktatorskimi.

Przed wiekiem było rzeczą naturalną dla autokratycznych cesarzy załatwiać w ten sposób ich sprawy. Spotykać się prywatnie i ogłaszać swe decyzje światu. Ale państwa, które są wielkimi demokracjami, nie mogą kopiować metod autokratów. Nie można również oczyścić od innych rządów, by bez kwestionowania przyjmowały w ten sposób wprowadzone w życie dekryty.

Jedynym argumentem na korzyść takiej praktyki jest jej skuteczność, ale ten argument okazał się fałszem. Cóż bowiem stało się w praktyce? Zdecydowano, że pewne sprawy zostaną zastrzeżone dla wielkiej trójki. Od tego momentu ustaje wszelka dyskusja i wszelkie rozpatrywanie ich. Stają się one „przedmiotem zarezerwowanym”. Przez szereg miesięcy niczego się nie załatwia aż do momentu, w którym następuje może spotkanie. A i wówczas załatwia się je z gwałtownym pospiechem jako część zaliczonego porządku obrad. Brak czasu na ich właściwe rozpatrzenie i na ożywczy wpływ publicznej dyskusji. Po długim dniu pracy podczas obrad po północy stwarza się i zatwierdza formuły. Można oczekiwać, że w takich okolicznościach rozstrzygnięcia będą miały charakter niedbaj i błędny.

Rzeczą charakterystyczną dla tej całej metody pracy jest fakt, że konferencja krymska wyprodukowała „ugodę” w sprawie Polski, którą można interpretować w całkowicie różnych sposób; na której znaczenie cała trójka ma odmienne poglądy. Prace należy podjąć od nowa. Nie można jej jednak wykonać.

ponieważ wielka trójka znówu nie spotka się przez szereg miesięcy. Wynikiem jest nie jednokrotnie, lecz spór i zamieszanie — nieunikniony rezultat, gdy od trzech ludzi oczekuje się zbyt wielkich osiągnięć w zbyt krótkim czasie.

Jakkolwiek zdolni byłoby ci trzy ludzie, jakkolwiek potężne byłoby rządy przez nich reprezentowane — nie mogą oni w ten sposób rozstrzygnąć spraw świata. Metoda ta jest nie tylko błędna w zasadzie; jest ona nieskuteczna w praktyce. W momencie nadchodzącego pokoju należy ją porzucić na rzecz nową, bardziej demokratycznej i bardziej skutecznej. San Francisco powinno znacząco nadchodzącą zmianę. Tam praca nad stworzeniem nowej organizacji światowej będzie wykonana na pełnym zgromadzeniu narodów, przy wykorzystaniu otwartej dyskusji i nieograniczonego czasu, jaki będzie potrzebny. Tam powinna powstać maszyna i metoda praktycznego, demokratycznego załatwiania spraw światowych, a nie rozstrzygnięcia ich niezdarnymi sposobami należącymi do zmarłego świata świętych przymierzy.

Nowe książki

Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej — Wydanie drugie — z nową przedmową Ryszarda Piastrowskiego.

Tajfun — Józef Conrad — Korzeniowski — cena za egz. 60 lirów.

Dzieje rodziny Korzeniowskich — Melchior Wańkowicz — cena za egz. 50 lirów.

Cele wojenne Polski — Adam Prager — cena za egz. 75 lirów.

GROZEA RZĄDZI RUMUNIA

(Dokończenie ze str. 4.)

prasa komunistyczna zmieniła ton i przestała atakować rząd.

W ten sposób już 6 grudnia można było powołać nowy gabinet. Był on wierną kopią poprzedniego z tą tylko różnicą, że generała Sanatescu zastąpił generał Radescu (szef sztabu głównego) obejmujący przy tym tę samą sprawę wewnętrznych oddziałów znaną w przeszłości przez komunistów zwolennikowi Maniu — Pencescu.

Wybitny oczywiście nadmierzony uproszczeniem tłumaczenie sobie tej nagłej woty komunistów ujęciem się ich lub komisarza Wyszyńskiego przed autorytetem króla. Motywy były inne, natury zresztą czysto taktycznej. Gdy mianowicie Wyszyński, zorientował się, że zarówno król, jak i obóz demokratyczny nie chcą się poddać bez walki, dozełdli do wniosku, że rozgrzywać należy na czas pewien odłożę. Doprowadzając bowiem do kryzysu w przedzie dni konferencji krymskiej byłoby Rosji nie na rękę zarówno politycznie jak i propagandowo.

Dwumiesięczna „pierdyszka”

Tak oto nagle, z dnia rewolucyjnego już prawie kryzysu, wypłynęła Rumunia w ciągu 24 godzin na spokojniejsze wody. W kraju zapanował wspaniały spokój, komuniści zeszli z ulic, rząd mógł wreszcie przystąpić do uregulowania najpilniejszych spraw. Z okazji nowego roku ogłosił wprawdzie Front narodowo-demokratyczny odeszwe gwałtownie atakującą rząd i partię demokratyczną, wystąpienie to nie miało jednak żadnych następstw. Przeciwnie nawet — z początkiem stycznia komuniści okazali się skłonniejsi do kompromisu w dość ważnych nawet sprawach. Zrezygnowali mianowicie z postulatu wprowadzenia przymusowych, monopoliistycznych organizacji syndykalistycznych dla robotników i ogłoszony 20 stycznia dekret przyjmował broniącej przez ludowców i liberalów zasadę wolności zrzeszania się. Przerzucowali też demokrację w części przynajmniej swój punkt widzenia w sprawie ustaw o ukaraniu zbrodniarzy wojennych i t. zw. „odpowiedzialności za klęskę kraju”. Zamast płynnych definicji winy proponowanych przez komunistów, którym chodziło o możliwość pociągnięcia przed trybunał wszystkich niewygodnych sobie osób, dekret precyzował dość dokładnie pojęcie winy. Nie doszło też do utworzenia czysto politycznych sądów ludowych: dekret wprowadził sądy mieszane złożone w połowie z sędziów zawodo-

wych a w połowie z przedstawicieli Frontu nar-dem., ludowców i liberalów. Ponadto rząd sowiecki zgodził się w końcu sprzeczyć warunki spłaty odszkodowania wojennego. W połowie stycznia marszałek Malinowski podpisał z rządem rumuńskim konwencję ustalającą spłatę w towarach w sześciu ratach po 50 milionów dolarów z tym jednak, że obowiązywać będą ceny z 1938 r.

Wydawało się więc, że inoże w końcu dojdzie do jakiegoś modus vivendi rumuńsko-sowieckiego, że może Moskwa pozostawi Rumunom szerszą sferę wewnętrznej swobody.

Nadzieje te przysły jednak bardzo szybko. Zakonieczona konferencja w Jaltie, która przyniosła Rosji konsekwencję jej donuczonego stanowiska w Europie wschodniej, stała się dla rumuńskich komunistów sygnałem do przypuszczenia ostatecznego ataku.

Rumunia pod rządami komunistów

Jakoż w drugiej połowie lutego poczęły nagle innożyć się zajścia. Jak na komendę, w różnych punktach kraju manifestanci komunistyczni wyszli na ulice, atakowali policję, zandarmę i wojsko, a w Bukareszcie strzelali nawet przez okno do premiera Radescu. Chociaż rząd rumuński zakazał wojsku używania broni z wyjątkiem otwartego ataku zbrojnego manifestantów, prasa komunistyczna w Rumunii oraz radio sowieckie oskarżyły Radescu o przelewanie krwi robotniczej i automatycznie awansowały go na „faszystę”, co nie jest pozbawione pewnej pikantierii skoro się zważy, że on był jedynym rumuńskim generałem, który miał odwołanie publiczne skarcił wszechwładnego wówczas poła Rzeczy Killingera za poniżanie narodu rumuńskiego. Nie kto inny też jak gen. Winogradow zaakceptował we wrześniu 1944 nominację Radescu na szefa sztabu po odrzuceniu pięciu innych kandydatów. Każdy zresztą wie w Rumunii, że gen. Radescu był zawsze i konsekwentnie antyniemiecki za co zresztą usunięty był przez Antoniescu ze służby czynnej.

W pierwszej chwili Radescu próbował walczyć. Jego dramatyczny apel do narodu z ostatnich dni lutego zdawał się wskazywać, że rząd nie kapitulował. Stało się jednak inaczej. Musiała jednak nastąpić skuteczną interwencja Wyszyńskiego, bo w końcu krypto-komunista Groza stanął na czele rządu.

Dokładnie w trzy miesiące po swej porażce grupowej komisarz Wyszyński wziął pełny rewanż na królu Michale.

Również i nowy rząd Groza i na fasadę koalicyjną, jest ona jednak tak źle skłębiona, że przetrzała przez nią wyraźnie czysto komunistyczny charakter gabinetu. Z kogoż bowiem składa się nowy gabinet?

Komuniści i socjal-komuniści mają w ręku następujące teki: promerostwo, sprawiedliwość, sprawy wewnętrzne, propaganda, opieka społeczna, komunikacja, sprawy mniejszościowe i oświata oraz, przez zaufanego generała, obrona narodu. Pozostałe teki przydzielono grupie liberalnych dysydentów Tatarsescu. On sam został wicepremierem i ministrem spraw zagranicznych, a jego dwaj polityczni przyjaciele, Bejan i Alimianesteanu, otrzymali, jako fachowcy, finanse i gospodarkę narodową. Jedną tekę otrzymał też prof. Rallea, szef fikcyjnej partii socjal-ludowej, jeden z najwierniejszych kłedy wykonawców totalackiego programu Karola II, choć inoże nie tak gorliwy jak sam Tatarsescu, prawdziwy współautor programu rumuńskiej demokracji w latach 1937-1939.

Za to właśnie wysługiwanie się Karolowi wbrew woli partii liberalnej został z niej Tatarsescu wyrzucony wraz z grupką swoich przyjaciół ze świata bankowo-przemysłowego. Po wejściu Niemców do Rumunii próbował on kilkakrotnie połączyć się z liberalami, ale bezskutecznie. Ostatnią jego ofertę odrzucono na wiosnę 1944. Tatarsescu postawił wtedy na kartę rosyjską. Z Wyszyńskim porozumiał się szybko już w listopadzie 1944 i wziął na siebie rolę rozbiłacza partii liberalnej. Podobną rolę w stosunku do ludowców chciał powierzyć dr. Lupu, okazał się on jednak zbyt stary i niedoświadczony, choć inoże nie brakowało. Wtedy skorzystał z usług Rallea, chociaż został on z partii ludowej wyrzucony już przed wielu lat.

Najbardziej więc nawet obiektywna ocena brzmień wuje, że komuniści objęli pełnię władzy w Rumunii, Fasada koalicyjny jest ino jeszcze na czas pewien potrzebna, dlatego tylko jednak, że są nadal lebiecie bardzo stabi i chcą mieć do dziele odpowiedzialność z elementami burżuazyjnymi całkowicie im zresztą podporządkowanymi. Można się spodziewać, że po czystkowio komunizowanie Rumunii odbywać się będzie etapami i bez ostentacji. Rząd sowiecki już od pierwszej chwili stara się o stworzenie nowemu gabinetowi popularności oddając mu administrację

(Dokończenie ze str. 1.)

żemy jednak pozwolić, by historię naszą fałszowano. W inie żadnych cudzych interesów nie zrzekniemy się prawdy o polskim Państwie Podziemnym. Jakąż gorycz i oburzenie budzi w nas, gdy niektórzy pragną nas przekonywać, że obrona tej prawdy, przez jej stosunek do Rosji, jest rzekomo pro-niemiecka. Trzeba tę sprawę raz wreszcie postawić jasno i otwarcie.

Polskie Państwo Podziemne, które przez 5 lat walczyło zwycięsko z Niemcami — zostało zlikwidowane przez Rosję. Jest już dziś niestety dość dokumentów stwierdzających ten stan rzeczy.

Prześladowanie bojowników Polskiej Armii Podziemnej wywołuje falę oburzenia w opinii krajów zachodnich. Rząd brytyjski domagał się z uporem wolności dla bojowników podziemnych i udziału ich w ewentualnym „rządzie” mającym zastąpić agencję lubelską. I oto jesteśmy świadkami nowego posunięcia sowieckiego. Jak donosiła „United Press” Moskwa podjęła „rozmowy” z bojownikami Polskiej Podziemnej — ba z członkami rządu podziemnego, którzy wydali p. Mojżesowi swą identyfikację.

Po oświadczeniach Beruta, że „mordercy z Armii Krajowej są wyjęci poza nawias prawa” — po proklamacjach „zdrajców i agencie niemieckie gen. Borze-Komorowski” — po aresztowaniach, deportacjach i zsyłkach — wadomości „U. P.” budziły musiała najwyższy niepokój. Oznacza ona, że likwidacja Armii Krajowej dobiega końca...

Tak brzmia prawda o polskim Państwie Podziemnym. Zaden z zaprzeczających z nami narodów nie może żądać, byśmy rezygnowali z historycznej prawdy o naszej Ojczyźnie. Jesteśmy wierni naszym sojuszom dlatego, że w najcięższych nawet chwilach potrafiliśmy być wierni samym sobie — polskiej racji stanu.

J. Mieroszewski

późnocnego Śiedmiogrodu, której dotychczas nie chciał z rąk wypuścić. Otrzymał też pewnie Rumunia jakiegoś spektakularnego ułatwienia gospodarce, mówi się o zwolnieniu jeńców z niewoli sowieckiej. W ostatecznej jednak konsekwencji dojdzie Rumunia do punktu, który jeszcze w listopadzie wskazywała, na publicznym zeboraniu, towarzysząca Anna Pauker: „Tylko realizacja programu Frontu narodowo-demokratycznego zapewni Rumunii niepodległość i przyjaźń Związku Sowieckiego”.

Balcanicus